

Dziś w numerze: ● Reportaż ze Szczecina ● Fotografia zbiorowa prasy łódzkiej ● Wielki camping ● Mgła ● Dyskusja o kabaretach literackich ● Bonn-arsenal Tel Avivu ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 33 (447)
20. VIII. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



Fot. Manfred Eurich

ANDRZEJ RADZIK

Od „scalonej strefy” — do powstania NRF

Od roku 1945 aż do momentu powstania Niemieckiej Republiki Federalnej rozwój sytuacji politycznej w Niemczech następował w trzech kolejnych fazach. Pierwsza z nich to krótki okres czasu, bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych, wyznaczona została przez pozytywną i raczej zgodną w zasadniczych kwestiach politykę Wielkiej Czwórki, zdążającą do zniszczenia moralnych i materialnych podstaw faszyzmu.

Druga faza charakteryzowała się zaniechaniem przez angloamerykańskie władze okupacyjne w Niemczech realizacji Uchwał Poczdamskich, wciąganiem gospodarki niemieckich stref zachodnich w orbitę swych własnych interesów, sabotażem czterostronnej współpracy na terenie Sojuszniczej Rady Kontroli, oraz pozwoleniem na rozpetanie przez reakcyjne partie niemieckie walki politycznej przeciwko demokratycznemu czynnikom stref zachodnich i wschodnich. I wreszcie trzecia faza, którą znamionowały sprzeczne z Uchwałami Poczdamskimi posunięcia mocarstw zachodnich w kierunku rozbięcia jedności Niemiec poprzez utworzenie państwa zachodniemieckiego.

Rok 1947 upłynął pod znakiem dalszego utrwalania i odbudowy frontu kapitalistycznego w Europie pod kierownictwem USA. Doktryna Trumana „uzasadniała” ideologiczne, polityczne i moralne prawo Stanów Zjednoczonych do interwencji w każdym kraju w przypadku, kiedy okaże się, że kapitalizm zostaje tam zagrożony. Pan Marshall, który uzupełnił tę koncepcję stwarzając materialne podstawy dla jej realizacji, zakładał również teoretyczną możliwość przeciwstawienia nowo powstałym krajom demokracji ludowej Związku Radzieckiego i rozszerzeniu wpływów amerykańskich na wschód od Łaby.

Politycy USA zdawali sobie sprawę, że zadanie to jest trudne do wykonania dlatego postanowiono w możliwie szybki sposób dążyć do odbudowy gospodarczego i militarnego potencjału Niemiec zachodnich jako podstawy urzeczywistnienia koncepcji „bloku zachodniego” w Europie.

Negatywny wynik V sesji Rady Ministrów Spraw Zagranicznych w Londynie, w r. 1947, nie zaskoczył opinii publicznej, ale przeraził ją możliwymi skutkami rozjęcia się czterech mocarstw. Siły patriotyczne Niemiec obawiały się, że linia demarkacyjna, która dzieliła strefę zachodnią od wschodniej pogodzi się i utrwali na lata, a stanie się granicą państwową. Już w dzień po zerwaniu konferencji londyńskiej prasa amerykańska dąsała z nieukrywaną radością, że obecnie rozpoczęła się pertraktacje pomiędzy mocarstwami zachodnimi bez udziału Związku Radzieckiego.

8 stycznia 1948 roku, we Frankfurcie nad Menem, gubernatorzy wojskowi amerykańskiej i brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, generałowie Clay i Robertson, przedstawili zebranym

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLIICH

JAKIE IMIE TWOJE?

Było tak: na pola i nieużytki przez widziane dopiero pod zabudowę przeniesiono nazwę pobliskiej wios-

ki. Ale pierwsze bloki mieszkalne Dąbrowy stanęły daleko od ich chrestnej matki i nie na pustkowiu, tylko nieopodal dworca Łódź-Chojny. Nocami budziły lokatorów: przestrzeń tu prawie otwarta i dźwięki dobrze się niosą.

W tym czasie słowo Dąbrowa brzmiało jak groźba. Zresztą prawidłowa nazwa osie dla postugiwali się tylko urzędnicy kwaterek. Mieszkańcy kolonii używali nazwy „Wygnanie”. Mało w tym było przesady. Po kocich łbach waziotkiej ulicy Śląskiej kursował jedyny autobus z zawieszoną na masce silnika tabliczką „61” teoretycznie co pół godziny, ale praktyka różniła się z teorią.

Domy pełzły na wschód, aż oparły się o łuk toru kolejowego, który wiąże Chojny z Wdźzewem. Wtedy żurawie firmy budowlanej zasłoniły niebo od północy. Tem-

po robót było znaczne i na osiedlu przybywało mieszkańców. Przybywali szybciej niż miejsca w autobusach i nie rozładowało tłoku uruchomienie nowej linii „70”. Sklepow w osiedlu właściwie nie było i wypchane torby z zakupami podwyższały współczynnik ścisłości na liniach komunikacyjnych.

Taki był obraz Dąbrowy sprzed pięciu-czterech lat, kiedy organizowały się pierwsze samorzady mieszkańców i w zalanych przez wodę piwnicach nowych bloków, albo pełnych rumowisk brulniach, lokatorzy wybierali komitety domowe.

Lokatorzy byli kwaterekowcy, spółdzielczość nie miała wtedy odwagi oferować mieszkań swym członkom w osiedlu o takiej opinii.

A jednak Dąbrowa dawno już wyszła z pokutniczego okresu pierwszych dni swego istnienia, czego dowodem może być obecność w osiedlu budownictwa spółdzielczego. Uruchomiono dwie nowe linie autobusowe a nawet podciągnięto torę tramwajową pod zachodni brzeg osiedla. Wciąż nie-

dośćateczna ilość sklepów pozwala jednak przynajmniej podstawowe artykuły nabywać na miejscu.

2

Hipolit Godziński, stolarz Łódzkich Zakładów Drzewnych, mieszka na Dąbrowie dokładnie trzy lata. Tyleż wynosi jego staż pracy społecznej w tym osiedlu. W dawnym miejscu swego zamieszkania, także nie uchylał się od społecznych funkcji. Przez dwanaście lat pracował w Komitecie domowym i blokowym, a także w terenowym Komitecie Frontu Jedności Narodu.

Godzińskiego wybrano na Dąbrowie przewodniczącym komitetu blokowego nr 17. Sprawuje te funkcje w imieniu 3000 mieszkańców bloku. Teren niezbyt rozległy, ale za to obfity w kwiatki budowlane, które

Dalszy ciąg na str. 4



Kronika Tygodnia

Przemówienia prezydenta de Gaulle'a oczekiwane są zawsze z dużym zainteresowaniem. Sprawa to jego realizm polityczny, a co zatem idzie odmienny niż Stanów Zjednoczonych, czy W. Brytanii punkt widzenia na wiele złożonych problemów współczesności. Tym razem zaciekażeniem było jeszcze większe, ponieważ była to pierwsza publiczna wypowiedź prezydenta po niezakończonym jego wizycie w Kanadzie.

Jak Czytelnikom wiadomo z doniesień agencji, wizyta ta wywołała w Ottawie, Waszyngtonie i Londynie istną burzę z powodu wystąpienia de Gaulle'a we francuskiej prowincji Quebec. Stwierdził on tam, że Quebec „staje się znów panem samego siebie” oraz przypomniał o prawie do samostanowienia. Jako, że ludność pochodzenia francuskiego w Kanadzie jest zdecydowanie majoritarna przez większość anglosaską — słowa te wydały się rządowi kanadyjskiemu wielce niebezpieczne i uznane zostały za podsycające nastroje separatystyczne. Premier Pearson pośpieszył z deklaracją, w której oświadczył, że wypowiedzi francuskiego prezydenta „są nie do przyjęcia dla narodu i rządu Kanady”, co z kolei posłużyło de Gaulle'owi za argument do przerwania podróży.

Przypominam te wydarzenia sprzed kilkunastu dni, ponieważ sądzono iż po deklaracji rządu francuskiego, aprobującej wystąpienia de Gaulle'a, powróci on do tej sprawy przed kamerami telewizyjnymi. Stało się jednak inaczej. Prezydent nie nawizował do swej kanadyjskiej podróży, większość przemówienia poświęcając celom francuskiej polityki zagranicznej.

Cele te określił w słowach: „postęp, niezależność i pokój”, zaznaczając wyraźnie, że „pierwszym z tych celów, determinującym pozostałe, jest pokój”.

W telewizyjnym wystąpieniu de Gaulle'a zasługują na szczególną uwagę ten fragment, w którym mówi on o zastępowaniu przez Francję „niebezpiecznego napięcia z Europą Wschodnią serdecznością i owocnymi stosunkami” oraz o postępieniu „interwencji zbrojnej ze strony jakiegokolwiek państwa na terytorium innych państw, jak to się właśnie dzieje w Azji południowo-wschodniej i na Bliskim Wschodzie”.

Komentatorzy zachodni zastanawiają się, dlaczego w okresie wakacyjnym prezydent Francji zdecydował się na publiczne wystąpienie i dochodzą do wniosku, że był to wstęp do kampanii, mającej na celu umocnienie poparcia Francuzów dla jego polityki zagranicznej. W świetle angielskim ze względu, które sygnalizują chociażby powyższe cytaty, przemówienie spotkało się z wielką krytyką, a nawet ironicznymi uwagami. Uwypukla to tym bardziej znaczenie słów de Gaulle'a.

Ważnym obserwatorem wydarzeń międzynarodowych z łatwością zapewne dostrzeżę, że politycznemu stadium konfliktu bliskowschodniego towarzyszą liczne bezpośrednie kontakty między państwami, wojskowymi itp. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy na liście tych spotkań są m. in. wizyta Podgórnego w Kairze i dwukrotny pobyt Bumediena w Moskwie, moskiewskie rozmowy delegacji wojskowych: Syrii, ZRA, Iraku i Sudanu.

W ostatnich dniach w Kairze, Damaszku i Bagdadzie gościł prezydent Tito. Dwukrotnie konferował on z prezydentem Naserem. Do tych rozmów, z uwagi na rolę Jugosławii w tzw. trzecim świecie, komentatorzy przywiązują duże znaczenie, podkreślając, że z punktu widzenia Nasera, Tito jest „najchętniej widzianym mediatorem pokojowym”.

Nie można jeszcze ocenić wyniku rozmów, a tym bardziej potwierdzić przypuszczeń części obserwatorów politycznych, że Tito przedstawił w Kairze plan normalizacji bliskowschodniej sytuacji. Z całą pewnością jednak przedyskutowano obecne stadium konfliktu, które charakteryzuje się brakiem jakiegokolwiek widocznego postępu oraz prowokacyjnymi oświadczeniami przywódców Izraela co do ich zamiarów wobec zagarniętych ziem.

Przypominam, że rozmowy Tito — Naser*) miały miejsce tuż po konferencji chartumskiej ministrów spraw zagranicznych, która potwierdziła jednolitość stanowiska świata arabskiego.

Do Waszyngtonu z oficjalną wizytą, pierwszą od czasu objęcia urzędu kanclerskiego, przybył Kiesinger. We wtorek i środę przeprowadzał on rozmowy polityczne z przedstawicielami administracji amerykańskiej. Dwukrotnie w cztery oczy spotkał się z Johnsonem.

Rzecznik rządu bońskiego podał do wiadomości tuż przed odjazdem Kiesingera do stolicy USA, że tematem rozmów będą: ogólna sytuacja polityczna w świecie, stosunki Wschód — Zachód, a w tym także tzw. nowa polityka wschodnia Bonn, struktura NATO i zachodnia strategia militarna. Powszechnie jednak wiadomo, że Kiesingera zaprowadzili do Waszyngtonu plany rozwoju Bundeswehry.

W tym miejscu musimy poinformować Czytelników, że w NRF od pewnego czasu toczy się dyskusja co do przyszłości armii zachodniemieckiej. Jest ona związana z pogłębiającymi się trudnościami gospodarczymi. Istotny wizerunek prasie bońskiej spór dotyczy redukcji wydatków wojskowych i sił liczebnych armii, naprawdę chodzi jednak tylko o wybór koncepcji, z których każda zmierza do powiększenia jej sił bojowych. Jaka z nich wybrać — zdecydować ma jesienią kanclerz Kiesinger i wizyta w Waszyngtonie ma mu pomóc w podjęciu tej decyzji.

Rzecz o tyle jest trudna, że Kiesinger chciałby poważnie wzmocnić siły Bundeswehry, a jednocześnie wzmocnić swoim rodakom i opinii zewnętrznej, że wydatki na cele militarne zostały... okrojone.

W. SŁAWSKI

*) Była to 18 spotkanie obu prezydentów.

W Hawanie zakończyła obrady Konferencja Organizacji Solidarności Latoamerykańskiej. Konferencja przyjęła 50 uchwał.

39 proc. ankietowanych przez Instytut Gallupa Amerykanów wyraziło zadowolenie z obecnej polityki Johnsona, 47 proc. natomiast wypowiedziało się przeciwnie.

Rumuński tygodnik „Lumea” opublikował całościowy wywiad wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych NRF Willi Brandta, udzielony redaktorowi tego tygodnika, w związku z wizytą Brandta w Rumunię.

z podobizną króla Mahendri. Znaczki rozdaje się młodzieży jako swego rodzaju antidotum na znaczki z portretem Mao Tse-tunga rozpowszechniane masowo w Nepalu przez emisariuszy Czerwonej Gwardii.

AFP: Rewolta Murzynów w Stanach Zjednoczonych przeszła z etapu walki prowadzonej otwarcie do etapu walk podziemnych. Pod pokrywką pozornego spokoju panującego obecnie w miastach amerykańskich, szykują się nowe eksplozje.

W Izraelu zakończyła się dwudniowa konferencja 60 żydowskich finansistów

We wrześniu w Genewie odbędzie się konferencja ONZ w sprawie standaryzacji nazewnictwa geograficznego. Pewnym problemem wiążącym się z ową konferencją jest kwestia miejscowości, które w ogóle nie mają nazwy i nie figurują na mapach, a mimo to istnieją. Chodzi tu głównie o osiedla badawcze najtajniejszych dziedzin przemysłu zbrojeniowego, atomowego, raketowego itp. Miast takich istnieje w świecie ponad 50, z tym, że niektóre liczą po 20 do 30 tysięcy mieszkańców.

Wiele kobiet rozumie dyskretnie jako sztukę takiego rozplotkowania ta jemięcy, aby nienaruszone zostały pozory jej zachowania.

CECILE SOREL

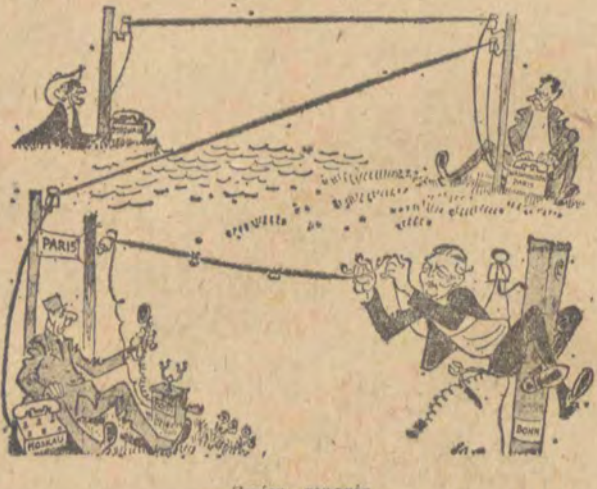
Senators J. William Fulbright stwierdził w przemówieniu wygłoszonym w Honolulu, że Ameryka stała się „symbolem gwałtów i niedyscyplinowanych sił”. „Wojna wietnamska — mówił senator — nie tylko pozbawia nasze ropiejące miasta zasobów ludzkich i materialnych, nie tylko utwierdza ona Murzynów zamieszkałych w rozpadających się ruderach w przekonaniu, że kraj ich odnosi się obojętnie do ich ciężkiej sytuacji, ale ponadto wojna ta sprzyja przekonaniu, że stosowanie przemocy jest odpowiednim sposobem rozwiązywania problemów. Jeżeli, jak twierdzi sekretarz stanu Rusk, tylko deszcz bomb może nakłonić Ho Chi Minha do rozsądku, to dlaczego nie miłanoby tych samych zasad stosować w kraju?”.

Zawarty niedawno przez NRD układ handlowy z Berlinem zachodnim na dostawę wagonów towarowych i turbin wartości 100 milionów marek, dał asumpt zachodnio-berlińskim obserwatorom politycznym do przewidywania, iż w niedługim czasie senat Berlina zachodniego podejmie próby nawiązania z NRD „dialogu” wychodzącego poza problemy ściśle gospodarcze.

UPI: Dowódcy amerykańscy są zaniepokojeni sprawnością, jaką przejawia Vietcong w używaniu pocisków ziemi — ziemia i zastanawiają się, jakie nowe bronie zostaną wprowadzone przez partyzantów w wojnie wietnamskiej.

Reuter: Ostatnie ruchy na tle rasowym w wielkich miastach amerykańskich przyczyniły się do powstania w USA przemysłu zbrojeniowego nowego typu. Chodzi o specjalny sprzęt służący do tłumienia rozruchów. Ogromne zamówienia nabywają do nowo tworzonych zakładów od policji oraz od gwardii narodowej w poszczególnych stanach.

„Krasną Związką” opublikowała artykuł wskazujący na konieczność zwalczania najrozmaitszych pogłosek i plotek. „Specjaliści od propagandy imperialistycznej, stwierdza pismo, nieustannie preparują swą truciznę, wystraszają broń kłamstwa, doskonałą ją, szukają nowych trujących substancji dla swych jadowitych strzałów. W ich arsenale znajduje się nie tylko szybko działająca trucizna, lecz również duchowe trucizny o powolnym działaniu, które całkiem niepostrzeżenie podważają przekonania ludzi i ich zasady moralne. Dowieć, brudna plotka o znanej osobistości, nilkczerna pogłoska o naszym ustroju radzieckim — wszystko to są „bombki” z tego samego arsenału. Niestety, nie zawsze to rozumiemy i uwzględniamy”.



— Znów awaria

(Die Welt)

21 deputowanych z ramienia partii republikańskiej przedstawiło w Kongresie projekt rezolucji domagającej się rewizji rezolucji z roku 1964, na mocy której Kongres złożył na ręce prezydenta Johnsona całą władzę w zakresie prowadzenia wietnamskiej wojny. Republikanie domagają się nowych przesłuchań, któreby zdecydowały o tym, czy wspomniana rezolucja „upoważnia prezydenta do prowadzenia nadal operacji wojskowych w południowo-wschodniej Azji, w obecnych ich rozmiarach”.

Ustawy, które są wydawane powinny być surowe, zaś ludzie je stosujący winni być pobłażliwi.

VAUVEMARGUSS

Po Japonii, Polsce i NRF, NRD zajmuje 4 miejsce w świecie w budowie statków rybackich.

W 15 rocznicę wstąpienia na tron król Jordani Husejn wygłosił przemówienie, którego główną częścią poświęconą była aktualnej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Król stwierdził, że Jordania nigdy nie wyrzeknie się starej Jerozolimy, czy też zachodniego brzegu Jordanu „niezależnie od wielkości poświęceń... Wolimy umrzeć godnie z honorem, niż zgodzić się na izraelską okupację”.

Główna komisja wojskowa przy KC KP Chin powołała specjalny komitet, którego celem będzie walka z rebeliami typu tej, która nastąpiła w Wuhanie. Komitet, w składzie 5 osób, przyjął oficjalnie nazwę Rewolucyjnej Grupy Lewicy Popierającej Masy.

Władze nepalskie poleciły wyprodukować wielką ilość metalowych znacz-

kie z kraju, obowiązek piśmiennego składania oświadczeń celnych. Podróżnicy zagraniczni nie mają obowiązku podawania ani wysokości kwot wwozonych, ani wywożonych efektów walut obcych i to zarówno tzw. walut „twardych”, jak i walut krajów socjalistycznych.

Jak wynika z komunikatu ogłoszonego przez Departament Stanu, ograniczenie swobody poruszania się po USA dyplomatów ze Związku Radzieckiego i krajów Europy wschodniej zostało złagodzone. Obszar strefy niedostępnej dla dyplomatów radzieckich zmniejszony został o 3,5 proc., dla dyplomatów krajów Europy wschodniej o około 7 proc. Dotychczas mniej więcej 1/4 obszarów USA nie była dostępna dla dyplomatów radzieckich, a nieco mniejszy obszar dla dyplomatów Bułgarii, Czechosłowacji, Polski, Rumunii i Węgier.

Wydawnictwo Koreańskiej Partii Pracy wydało w nakładzie 100 tys. egzemplarzy książkę pt. „Kuba jest awangardą i przykładem dla narodów Ameryki Łacińskiej”, zawierającą przemówienia wygłoszone przez Fidela Castro na pierwszej konferencji solidarności krajów Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Wicepremier i minister bezpieczeństwa publicznego w rządzie ChRL Hsieh Fu-chieh oświadczył, że walka zbrojna pomiędzy maoistami i zwolennikami przewodniczącego Republiki, Liu Szao-tsi osiągnęła krytyczny punkt. Sytuacja, złączeniem ministra, jest szczególnie niebezpieczna w centralnych prowincjach, Hupen, Junan i Kiangsi. Dodał on, że antymaoowski ruch oporu korzysta z uzbrojonych ugrupowań w miastach i wsiach tych prowincji kontrolowanych przez armię. Elementy antymaoowskie przechodzą

W codziennym życiu najdokuczliwsze są drobne zmartwienia. Latwo bowiem jest zamknąć drzwi przed słońcem, trudniej natomiast uczynić to przed muszką.

ANNI CORDY



— Coraz cięższe...

(Die Welt)

„New York Herald Tribune” o wojnie wietnamskiej: „Mimo oficjalnego optymizmu — zdaniem najbardziej zorientowanych obserwatorów przebieg wojny nie jest pomyślny. Nie wiadać bliższego zwycięstwa. Jest ono być może nieosiągalne. Nie jest ono prawdopodobne w ciągu nadchodzącego roku, albo dwu. Oficerowie amerykańscy mają ze smutkiem o walce, która może trwać dziesięciolecia.”

Władze rumuńskie nie mał zupełnie zniósły formalności związane z przekraczaniem granic celnych kraju. Dla cudzoziemców zniesiono nawet, tak przy wjeździe, jak i przy wyjeź-

wują tam broń i ćwiczą lokalne oddziały milicji.

Radziecki ekonomista, Plotnikow, wyraził pogląd na temat problemów akumulacji i spożycia w gospodarce socjalistycznej. Nadmierne akumulowanie, zdaniem uczonego, grozi zahamowaniem tempa wzrostu stopy życiowej. Zamrażają się dochody, słabnie bodziec do podnoszenia wydajności pracy, a społeczeństwo traci tempo rozwoju w imię którego postanowiło zwiększyć udział w akumulacji. Tak więc konieczna jest nie maksymalna, lecz optymalna, czyli najbardziej celowa proporcja między dochodami ludności, a nakładami inwestycyjnymi.

Od
„scalonej strefy“
— do
powstania NRF

Dalszy ciąg ze str. 1

tam politykom niemieckim swoje propozycje dotyczące nowej struktury administracyjnej Bizoni. Uchwały konferencji frankfurckiej, która wyraźnie zmierzała do utworzenia państwa zachodniemieckiego, znalazły pełne potwierdzenie w oficjalnym komunikacie, który amerykańskie i angielskie władze okupacyjne ogłosiły 7. II. 1948 r. o utworzeniu tzw. „administracji gospodarczej scalonej strefy brytyjsko-amerykańskiej”. Ten nowy „statut Bizoni” był pierwszą zamaskowaną konstytucją państwa zachodniemieckiego.

Tak więc od konferencji frankfurckiej rozpoczęła się bardzo ożywiona i ostra dyskusja wokół projektu gen. Clay'a. Znamienne było przy tym, że wobec popularności ideał jedności Niemiec, ci politycy niemieccy, którzy brali udział w opracowaniu nowej organizacji Bizoni starali się później od tego pozornie odgradzić. I tak np. już następnego dnia po ogłoszeniu komunikatu we Frankfurcie, dr Kurt Schumacher w wywiadzie udzielonym berlińskiemu dziennikowi SPD „Telegraf” wyjaśnił, że „propozycje” te nie były w ogóle propozycjami, lecz po prostu rozporządzeniami, jak wszystko co pochodzi od Zarządu Wojskowego; że przedstawicielom niemieckim dano tylko 24 godziny czasu na powzięcie decyzji; i że SPD nie może brać na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za konsekwencje niepowodzenia sojuszników w doświadczeniu porozumienia między sobą, lecz jest gotowa „udzielić swego poparcia wszelkim zarządzeniom mającym na celu gospodarczą konsolidację Bizoni”.

Dotychczasowy rozwój wypadków — bilans „osiągnięć” anglosaskich w zachodnich strefach okupacyjnych Niemiec oraz wyraźne sformułowanie planu Marshalla z podstawową tezą „bez odbudowy Niemiec — nie ma odbudowy Europy” głęboko zaniepokoił postępową opinię publiczną Niemiec i świata. Oto, jaka była reakcja przywódcy SED Wilhelma Piecka: „Nie chcemy ani Bizoni ani Trizonii, ale chcemy mieć Niemcy zjednoczone, takie Niemcy, w których uprawiana będzie jednolita, pokojowa, demokratyczna polityka. Dlatego właśnie naród niemiecki musi dążyć do utworzenia rządu centralnego, przygotowania wyborów Zgromadzenia Narodowego, a wreszcie opracowania projektu ogólnoniemieckiej konstytucji — oto są najpilniejsze żądania niemieckie na dziś i na przyszłość...”

Wszystkie te poczynania były wystarczającym powodem skłaniającym państwa demokratyczne, które czuły się zagrożone perspektywą odrodzenia się niebezpieczeństwa niemieckiego do wspólnego sprzeciwu swego stanowiska. 17. II. 1948 r. rozpoczęła się w Pradze konferencja ministrów spraw zagranicznych Polski, Czechosłowacji i Jugosławii, która była poświęcona sprawom niemieckim. Konferencja w Pradze była odpowiedzią państw socjalistycznych, że żadne jednostronne rozwiązanie w sprawie niemieckiej, oparte na pogwałceniu postanowień poczdamskich, nie będzie do przyjęcia dla tych państw, które widziały w nich gwarancje swego bezpieczeństwa. Deklaracja praska była nie tylko wyrazem pełnej zgodności poglądów państw sojuszników, ale równocześnie stanowila wytyczną przyszłej polityki uczestników obrad w sprawie Niemiec. Był to nowy i ważny krok w polityce europejskiej, który znalazł pełne poparcie ze strony polityki radzieckiej.

Warto nadmienić, że Francja po ostatecznym włączeniu Zagłębia Saary do własnego obszaru gospodarczego była, bardziej skłon-

na do wyrażenia zgody na scalenie swej strefy z obszarami Bizoni, ponieważ pozostały po włączeniu Saary obszar strefy francuskiej stał się raczej gospodarczym ciężarem. Do tego dochodził jeszcze silny nacisk Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii — tak wyraźnie już widoczny w drugiej części obrad Konferencji Londyńskiej — którym spieszno było do utworzenia Trizonii, a następnie państwa zachodniemieckiego.

Równoległe z rozmowami londyńskimi, z inspiracji polityków amerykańskich, dokonano w Brukseli 4. III. 1948 r. otwarcia konferencji pięciu państw: Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii, Holandii i Luksemburga — w sprawie utworzenia Unii Zachodnio-Europejskiej. Traktat ten o wyraznym już charakterze wojskowym skierował swoje ostrze przeciwko ZSRR i pozostałym krajom demokracji ludowej. W odpowiedzi partie komunistyczne, których rządy podpisały „sojusz pięciu” w Brukseli ogłosiły dekla-

rację, potępiając w niej brukselskie porozumienie — przestrzegając opinię publiczną na Zachodzie przed jej dalszymi konsekwencjami.

20 marca 1948 r. dochodzi do zawieszenia prac Sojuszniczej Rady Kontroli. Równocześnie w połowie marca 1948 r. rozpoczęły się w Paryżu rozmowy 16 krajów objętych „Planem Marshalla”. Dyskusja paryska, która miała niejednokrotnie gwałtowny przebieg, zaaprobowala propozycje angielskiej objęcia Niemiec zachodnich Planem Marshalla i została uwieczniona podpisaniem konwencji o „europejskiej współpracy gospodarczej”. Dolar amerykański poszedł w ruch, aby ratować „wolny świat” przed zburzeniem przez komunizm.

Decyzje londyńskie w ścisłym połączeniu z separatystyczną reformą walutową z 20. VI. 1948 r. były ostatecznym ciosem, który uderzył w jedność ekonomiczną Niemiec i w sposób ostateczny przypieczętował polityczne rozbiście.

Drastyczne posunięcia mocarstw zachodnich spowodowały, że Związek Radziecki 20. VI. 1948 r. wycofał swoich przedstawicie-



go celem było opracowanie ustawy konstytucyjnej nowej federacji niemieckiej. Poinformowano jednocześnie premierów o zasadach przyszłego statutu okupacyjnego, który przewidywał między innymi prawo kontroli niemieckich stosunków zagranicznych, kontroli Zagłębia Ruhry, poziomu produkcji, wysokości odszkodowań oraz tworzenie niezbędnych środków dla zapewnienia bezpieczeństwa, pokoju i poszanowania konstytucji.

Rzecz oczywista, że zasady te spowodowały szereg zastrzeżeń ze strony niemieckiej. Celem sprzeciwienia własnego stanowiska premierzy 11 krajów niemieckich zwołali 8 lipca 1948 roku specjalną konferencję w Koblencku, na której dr R. Maier przedstawił trzem gubernatorom poprawki do założeń londyńskich. W uchwałach koblenckich premierzy starali się złagodzić ostrość i wyraziście postanowień londyńskich i statutu okupacyjnego. Konstytuante nazwał „przedstawicielstwem”, zamiast słowa „konstytucja” użył nazwy „prawo podstawowe”. Zaproponowali również, aby mocarstwa okupacyjne zrezygnowały z żądania zatwierdzenia

„prawa podstawowego” i upoważniły premierów do jego ogłoszenia. Uchwały te stały się podkreślenie niewygodną dla mocarstw zachodnich tymczasowość przyszłego rządu i dlatego zamiast nazwy „rząd” zaproponowano nazwę „wspólna egzekutywa dla obszaru okupacyjnego państw zachodnich”. Uczestnicy konferencji koblenckiej pragnęli w ten sposób zrzucić na siebie odpowiedzialność za stworzenie de jure separatystycznego państwa zachodniemieckiego i obarczyć nią mocarstwa okupacyjne.

20 lipca 1948 roku dochodził we Frankfurcie do ponownego spotkania trzech gubernatorów z premierami krajów Niemiec zachodnich. Zadaniem konferencji jest usunięcie wszystkich dotychczasowych rozbieżności i przyspieszenie prac związanych z utworzeniem państwa zachodniemieckiego. Stanowisko mocarstw zachodnich w tej sprawie zostało najwyraźniej określone w oświadczeniu przedstawiciela Wielkiej Brytanii, Gen. Robertsona oświadczył m. in.: „Decyzje konferencji londyńskiej były wynikiem długich i starannych obrad przedstawicieli naszych trzech rządów. Wynika stąd, że wszelkie próby odejścia od tych decyzji musza spowodować trudności. Zresztą decyzje te stanowią całość — zmiany w którymkolwiek punkcie są niemożliwe, gdyż zagrażałyby całości”.

A oto jak wygląda „opór” strony niemieckiej wyrażony przez premiera Stocka (Hessja), który w imieniu premierów złożył następującą deklarację: „Wstrzymujemy się od wszelkiej krytyki nad dorecznymi nam dnia 1 lipca dokumentami I, II, III oraz od wszelkich dalszych uwag co do naszych koblenckich kontropropozycji. Dążeniem naszym jest iść naprzód, a nie tłumaczyć lub usprawiedliwiać rzeczy minione. My, premierzy zgadzamy się zupełnie z gubernatorami wojskowymi co do tego, że pożądanym jest tworzyć w ramach decyzji londyńskich organizację polityczną, która jednocześnie będzie stanowiła solidny fundament dla zachodnich Niemiec na podstawie federalistycznej”.

Uchwała konferencji londyńskiej w sprawie Niemiec spotkała się ze strony szerokiej opinii publicznej z niechęcią i obawami, szczególnie we Francji, dla której problem niemiecki był przede wszystkim problemem bezpieczeństwa ze strony Niemiec. Uchwały te stanowiły zdecydowany krok nie tylko w kierunku odbudowy niemieckiej państwowości, ale również tej potęgi gospodarczej. Zarówno wśród części ówczesnej koalicji rządowej, jak i wśród komunistów oraz w obozie de Gaulle'a podnoszone były ostre głosy protestu przeciwko zbytni „pośpiesznej” i zbyt centralistycznej odbudowie Niemiec.

W tym czasie coraz częściej zaczyna być omawiany na łamach prasy i publiczności anglosaskiej problem wschodniej granicy Niemiec. Poczynaniem tym towarzyszyła narastająca rewizjonizm w Niemczech za chodnich. Sprawa granic wschodnich stała się wyraźnie sztandarowym hasłem dla wielkiej liczby polityków niemieckich w zachodnich strefach okupacyjnych.

Procesy te były tak wyraźne, że wzbudziły zaniepokojenie nie tylko w społeczeństwie polskim, ale również i w bardziej postępowych kręgach emigracji polskiej na Zachodzie. Londyński „Przegląd Polski” w lipcu 1948 r. tak pisał po ogłoszeniu uchwał konferencji w Londynie: „Reedukacja Niemiec się nie udala; dla większości Niemców ideały demokracji Zachodu pozostały obcą naciągaczką, z której otrząsnąć się oni pragnęli w pierwszej kolejności. Niemcy żyją w mistycznym oczekiwaniu nowego Fuehrera”.

W szybkim tempie toczyły się dalsze przygotowania zmierzające do opracowania konstytucji przyszłego państwa niemieckiego. 14 maja 1949 r. zachodnie władze okupacyjne ogłaszają status okupacyjny dla Berlina, który zlikwidował wojskowe organa okupacyjne i przekształcił je w wysokie komisarjaty USA, Anglii i Francji. 23 maja 1949 r. w Bonn ustawa w życie konstytucja (Grundgesetz — Ustawa Zasadnicza) uchwalona przez Radę Parlamentarną. Z dniem tym rozpoczęła swe istnienie Niemiecka Republika Federalna. Rozpoczął się nowy rozdział w historii powojennej Niemiec.

ANDRZEJ RADZIK

Nożycami przez PRASĘ

A PRZEPIS NA ŁODZIANINA?

Jak robić odstępstwa to już robić. Na swoje usprawiedliwienie mogą podać, że na niedzielne numery „Życia Warszawy” czekam niekiedy z większą niecierpliwością niż na niektóre tygodniki. Temu piśmie zwiększona niedzielną objętość wyraźnie się przyśłużyła. (Nie o wszystkich, niestety, da się to powiedzieć)

W przedostatnim niedzielnym numerze Władysław Kopaliński — felietonista, a zaszczytne to miano, gdyż w porównaniu ze stanem przedwojennym nie mamy ich zbyt wielu — zamieścił „Przepis na warszawianka”, oczywiście, nie biorąc za niego odpowiedzialności, chytrze bowiem włożył go w usta swoje-

go przyjaciela Idziego. Mając takiego przyjaciela, można być bystrym felietonistą.

Otoż... Socjologowie dawno stwierdzili, że społeczno-obywatelowe oblicze naszej krajowej współczesności zależy od ludzi ze wsi. Statystyka wspiera tym razem socjologów bez żadnych zastrzeżeń. Skoro zrównała się ilość mieszkańców miast i wsi, to jasne, że to zrównanie zawdzięczamy emigracji ze wsi, emigracji lub pół-emigracji. Ludziom, którzy opuścili pewne środowiska o war tościowej kulturze i godnej szacunku obywatelowości. Ludziom, którzy w miastach i miasteczkach chcą się zaadaptować. Z różnych względów rezygnują lub muszą rezygnować ze swojej dawnej obywatelowości na rzecz nowej, miejskiej. Takie re-

zygnacja i takie przyswajanie może trwać długo, przy tym jakże często się zdarza, że rezygnuje się z czegoś lepszego na rzecz czegoś gorszego, choć pozornie bardziej efektywnego, wymagają nawet tego warunki.

Zdziwiłem się jednak, że właśnie w Warszawie, w stolicy, Kopaliński zaobserwował to, co mi się wydawało typowe przede wszystkim dla Łodzi, bo jednak w związku z naszym miastem ukuto na przykład pojęcie chłoporobotnika. To są ci, co albo dojeżdżają albo przemieszczają się do miasta, ale co niedziela odwiedzają najbliższych czasem mieszkających aż za Skierniewicami i przywożą stamtąd, zależnie od pory roku, to papierówki, to ziemniaki i kiełbasy. To często są ci, co łązki w nowych blokach nie używają do właściwego im celu. Nie wiem jak w Łodzi, ale w Białymstoku w swoim czasie kilka rodzin z podobnych powodów wysiedliło. I słusznie!

Chciało mi się kiedyś napisać felieton o przeciętnym łódzkim prze-

chodniu. Nie ma on miej skiego nerwu: jeśli nie pada deszcz lub nie gra suje mróz, wlecz się. Lu bież wlecz deszcz i mrozy, bo wtedy na ogół łodzianie poruszają się jak mieszkańcy dużego miasta. Jeśli łodzianin wsieda do tramwaju to w takim tempie, jakby był jedynym wsiadającym.

Dzieki dwudziestu latom pokoju pojawiła się piękna młodzież, właściwa normalnym środowiskom biologicznym: rośli chłopcy, smukłe dziewczyny. Ale większość z nich porusza się z wdziękem zaawansowanych artrytyków. Transzystorowe radia uchodzą wśród nich za symbol neoszlachectwa.

Przeciętny łódzki przechodzień nie przyspiesza kroku z obawy, że za chwilę zgaśnie zielone światło. Dlatego się spóźniam. Do ofiar nieszczęśliwych wypadków ulicznych lekarz nie może się precyzować. To zresztą niekawość, znajdująca wyjaśnienie w podświadomym okrucieństwie.

Łódzcy stróżę zakladają wyreczają się psami, które wyciem niszczą i

noce. Milicja na to nie reaguje. (Choćby KD Łódź-Sródmieście).

A teraz oddajmy głos koł. Wł. Kopalińskiemu. Przepraszam, jego przyjacielowi Idziego. Oto kilka, wybranych z felietonu spostrzeżeń:

— Patrz — odezwał się, celując palcem w idących — jak trudno nauczyć się żyć w mieście, umieć wtopić się w jego grunty bez tarć i urazów, nie wystając niegrabnie z ciżby jak obce ciało. Falszowy wstyd nie pozwala nam zająć się ułatwieniem przejścia z otoczenia wiejskiego czy maomiasteczkowego w miejskie, choć przecież ruch ten będzie trwał, mimo sztucznych ograniczeń, przez dziesiątki lat. Przypatrz się tylko uważnie, a już po chwili zobaczysz żywe przykłady. Oto ten przepycha się bezwzględnie przez falę ludzką i z szarym potracą ramieniem mijających go przechodniów. Tymczasem człek miejski, mijając się z drugim, instynktownie usuwa się akurat o tyle, aby przy takim samym uniesieniu się partnera

nie zetknąć się z nim, tym mniej doprowadzić do zderzenia — incydentu nie mieszczącego się w normach cywilizacyjnych ulicy.

Niby jest to istotne, ale:

Jeżeli widzisz kobietę, która zwalnja kroku na widok zielonego światła sygnalu, a kolejno wyskakuje na jezdnię i cofa się na chodnik przy świetle czerwonym, która zatrzymuje się akurat w drzwiach ruchliwych instytucji publicznych, aby tam złapać oddech lub zebrać myśli, która w ogonku do wózka z owocami staje w poprzek chodnika — jesteś świadkiem takich właśnie kłopotów przystosowawczych.

I dalej:

Oni po prostu nie wiedzą, że na chodniku także obowiązują przepisy podobne do przepisów ruchu kołowego, choć nie pisane i znacznie prostsze. Bo jednak należy chodzić w zasadzie prawą stroną, a już na nowo nie tak mając (aby przy tym nie odlatywać wać sztafera); nie należy też zachodzić ludziom

drogi przy wyprzedzaniu, zmianie kierunku chodu, wychodzeniu z domu. Człowiek miejski może nawet nie być tych rzeczy świadom, ale i tak przeciw nim nie grzeszy; ma to we krwi... I jeszcze pozornie nie taki znow celny akapit: Bardzo typowa jest też tzw. świerzbaczka przedwyściowa, tj. nagła panika ogarniająca nowicjusza na myśl, że się nie wydoszanie z tramwusa i będzie nim jeździł wiecznie.

Oczywiście, że felietoniści to żartownisie, ludzie o zdecydowanie subiektywnym poglądzie na świat. Ale jednak zakonczmy te uwagi na serio. Mamy do czynienia z prawidłowym procesem, o którym myślał Lenin. Wiesz dzięki różnym kolicznościom zbliża swoje życie do miejskiego. Wiesz natomiast w mieście staje się czymś żałosnym, smutnym, anachronicznym, hamującym życie miejskie.

Wniosek: umiejętniej i bardziej świadomie się adaptować!

JAN OLECHNO

JAKIE IMIĘ TWOJE?

Dalszy ciąg ze str. 1

niewczą entuzjazm lokatorów. Ludzie powia-
dają: Chodźmy do czynów społecznych, a
w domu woda leje się nam na głowę, pa-
nie Godziński.

To sprawa pechowego domu przy ulicy
Kadłubka 44. Historia kilku szczytowych
mieszkań tego bloku ma swoje obszerne
miejsce w aktach Referatu Listów i Inspek-
cji KE PZPR, w dziale łączności z czytel-
nikami „Expressu Ilustrowanego” a także
w dzienniku podawczym LPEW „Dąbrowa”
i Dyrekcji Inwestycji Miejskich Prez. DRN
Łódź — Górna.

Kiedy zachodzę do mieszkania Godziń-
skiego, siedzą tam akurat zainteresowani:
Głowacki, przewodniczący komitetu domo-
wego i Kolaszińska, lokatorka najdotkliwiej
poszkodowana. Na stole grubo plik kore-
spondencji urzędowej za czas od kwietnia
do października 1966 r. W ostatnim z tych
pism obietnica rychłego remontu pechowe-
go bloku.

— I co pan na to, panie Godziński? —
pyta, Kolaszińska.

Godziński łagodnie:

— Rok się jeszcze nie skończył.

Głowacki, do którego lokatorzy pechowe-
go domu mają bliżej niż do Godzińskiego,
pódrywa się gwałtownie. Potem zwraca się
do mnie:

— Panie dziennikarzu, ludzie mi żyć nie
dają, głowę chcą urwać. Pewnie rzucę te
całą pracę w komitecie, niech się męczy
kto inny.

Tłumaczy:

— Jestem hodowca kwiatów z zamiłowa-
nia, szewcem z zawodu, z transportu bu-
dowlanego z pracy, a przewodniczącym
komitetu domowego z wyboru. Ten blok
byłby nawet całkiem, całkiem, gdyby nie
zaciekl. Pan nam musi pomóc, napisać o
tej wodzie. My sobie koło bloku owoc za-
łożymy, znaczy sad, kwiatów nasadźmy.
Zaprosimy pana do tego sadu, jak pan
nam pomoże. Te topole co teraz rosną wy-
rzuć w diabły. Po co mają szumić, war-
czyć pod nosem. Po-sadźmy tam wierzbę
placzącą. Albo nawet nie placzącą tylko
srebrną.

Kiedy wreszcie zostajemy sami Godziń-
ski mówi:

— Sam pan widział. A te interwencje
budowlane idą diabło odczęła. Jestem bez-
silny. W bloku 315, mieszkanie nr 19, jest
wyrwa w stropie wielkości małej miednicy,
prawie na wylot. Pisałem do budowa-
nictwa, do ADM, technik administracji za-
notował sobie wszystko w zeszycie. Ale
efektu nie ma. I te jednostkowe zaniedba-
nia, które powinny być usunięte od ręki,
psują nam robotę. Ludzie są bardzo ofiar-
ni, jeśli chodzi o pracę społeczną, ale
chcą, żeby szanowano ich zapal.

3.

Tereny bloku nr 13 graniczą z „siedem-
nastką” Godzińskiego. „Trzynastka” kieruje
Jan Brodowski, człowiek młody, rozmilowa-
ny w Dąbrowie może dlatego, że właśnie
tutaj w 1963 r. otrzymał swoje pierwsze,
własne mieszkanie. Z zawodu jest tokarzem.

Mieszka wysoko, na czwartym piętrze,
dwa pokoje z kuchnią. Akurat wrócił z dy-
żuru, który członkowie komitetu blokowego
pełnią co poniedziałek w lokalu szkoły. Opo-
wiada o planach zorganizowania na Dąbro-
wie terenowego koła ZMS. Zetęsiło się 18
osób.

Tereny komitetu blokowego nr 13 za-
mknęły się w dość szczęśliwych granicach.
Usterki budowlane prawie nie było, naj-
bardziej rażące usunięto. Pozwoliło to ko-
mitetowi blokowemu zająć się sprawami
bardziej wdzięcznymi, niż interwencje w
ADM.

W tym samym bloku co Brodowski miesz-
ka pan Prajss, pracownik centrali handlu
zagranicznego, Prajss biegle zna angielski.
Kiedy lokatorzy domu własnym przemy-
słem zorganizowali w piwnicy małą świe-
tlicę Prajss zaproponował, że będzie bez-
płatnie nauczał angielskiego dzieci z całego
bloku. Zrazu patrzyli na niego wszyscy jak
na szaleńca, sądząc, że to nie potrwa dłu-
go. Prajss zebrał w świetlicy dzieci sasia-
dów i zaczął im kłaść w lepetyny zawitości
angielskiej wymowy. Kupił także tablicę za
dwieście złotych, taka miał fantazję. W pi-
wnicy nauczał ponad rok, a kiedy w osiedlu
zawiazano się terenowe Koło Przyjaciół Dzie-
ci zaproponowano mu, aby orzeczł się z
lekcjami do szkolnej świetlicy. Miał już
wtedy kilka kompletów uczniów i w pi-
wnicy domu zrobiło się przyciasno. W szkole
wykładał dzieciom z bloku jeszcze przez
pół roku angielski, nie wziął za to ani grosza.
Nieoczekiwanie lekcje zostały przerwa-
ne. Kiedy Prajss wybrał się na kolejną wy-
kład zastał drzwi świetlicy zamknięte, dzie-
ci stały na podwórku szkolnym i nie wie-
działy gdzie się podziały. Śmiejsze zaglądały
przez okno do izby, która jeszcze wczoraj
była świetlicą TPD. Nie było w niej ani
jednego sprzętu, zniknęła także tablica
Prajssa kupiona za Prajssowe pieniądze.

Tajemnicę tę po pewnym czasie wyjaśnił
dopiero Brodowski. Okazało się, że dotych-
czasowa przewodnicząca koła TPD postano-
wiła zawiązać nowe koło w innym ADM.
Sprzęt potrzebny był jej na rozruch, nie
chciała zakładać nowego koła z pustymi re-
kami, stare już jej nie interesowało. Bro-
dowskiemu zalała krew, ale nie powiedział.
Przydzwigał tylko na plecach Prajss-
sowa tablicę i zwrócił właścicielowi. Prajss
ma ją do tej pory, trzyma tę pomalowaną
na czarno dechę na pamiątkę zmarnowa-
nego entuzjazmu.

Brodowski tłumaczy:

— Są tacy działacze społeczni, co zajmują
tylko miejsce, w rzeczywistości zaś niewczą
pracę innych.

Dzieci pozostawione bez opieki, grasujące
na trawnikach, grające w piłkę na waziut-
kich jezdniach, gdzie w każdej chwili nara-
żone są na niebezpieczeństwo stanowią pro-
blem osiedla numer 1. To zresztą nie jest
wina dzieci, że projektanci Dąbrowy nie
przewidzieli żadnych miejsc na placę gier
i zabaw. Każdy wolny metr placu zajęty
jest na trawniki i garaże, dzieci w tym ra-
chunku nie istnieją, nie mają swego miej-
sca na ziemi. Wice, biegają z góry na dół
po klatkach schodowych, harcują na balko-
nach, w chowaniec bawia się w mieszka-
niach. Z powodu zatargów sąsiedzkich na
tle dzieci komisje pojednawcze w osiedlu
mają pełne ręce roboty. Dopiero ostatnio
w pobliżu bloku 245 udało się zorganizować
małą plac zabaw dla dzieci. Są tam czte-
ry huśtawki i nieco rzadkiej trawy.

Brodowski mówi:

— Mamy tutaj na Dąbrowie pana Kali-
nowskiego, dyrektora XXXI Liceum, który
mocno przeżywa sprawy dzieci. Zgodził się
oddać na potrzeby osiedla boisko szkolne.
Powołaliśmy komisję do spraw młodzieżo-
wych, zorganizowaliśmy dwie drużyny piłki
nożnej spośród chłopców. Kalinowski tak
się zapalił, że obiecał nawet wypożyczyć
dresy ze szkoły, dwa razy w tygodniu miał
przychodzić specjalny instruktor. Wystarto-
waliśmy przed wakacjami, ale pech sprawił,
że pierwszego dnia zachorował instruktor.
Chłopcy byli rozczarowani, pytali, dla-
czego nie ma trenera. Wakacje przeszkodził
ty nam w dalszych zajęciach, ale od jesie-
ni zaczniemy wszystko od początku.



Mówi jeszcze:

— Tyle jest tych spraw z dziećmi naszej
Dąbrowy. W maju miałem urlop, ale nig-
dzie nie wyjeżdżałem. Chodziłem agitować
rodziców, żeby wysyłali dzieci na kolonie.
Nie zgadzali się na wyjazdy ze względu na
opłaty. Tylko niektórych udało się przeko-
nać.

4.

Na Dąbrowie należą już do wyjątków wy-
padki pobić, czy zacepkali kobiet, zmora
pierwszych dni istnienia osiedla. Częściowo
oczyścili atmosferę ORMO-wcy, częściowo
milicjanci, odmasz otwarto na Dąbrowie po-
sterunek MO. Dzięki zdecydowanej postawie
mieszkańców udało się także odeprzeć za-
mach MPK na linię autobusowa „70”, którą
nie wiadomo dlaczego zamierzano zlikwidować.
Życie z wolna stabilizuje się, coraz rza
dziej różne przedsiębiorstwa remontowe i
instalacyjne niewczą wysiłek mieszkańców,
którzy w czynie społecznym posiadają kwia-
ty, drzewka, zasiali trawę.

Alé sprawy osiedla nie są najlepiej repre-
zentowane na szerszym forum. Dąbrowa zamieszkiwana
przez ludność bliską już obwo-
dowi poselskiemu, nie ma ani jednego rad-
nego choćby tylko w Dzielnicy Radzie
Narodowej. Postulaty mieszkańców nie mają
wiecej w dzielnicy zbyt żarliwego obrońcy,
drobne nawet sprawy ciągną się miesiąca-

mi, nie można ich sfinalizować. Za przykład
może posłużyć choćby wciąż nie załatwiony
problem sklepu czynnego w niedzielę czy
lokalizacja na terenie „Dąbrowy” sklepu
„Motozbyt” w sytuacji, gdy nie ma jeszcze
w osiedlu poczty, księgarni, czy „Argedu”.

Dąbrowa nie ma jeszcze swojego oblicza,
procesy integracyjne przebiegają tu w tem-
pie zwolnionym. Dale się wyraźnie odczuć
brak choćby takiego ciała jak osiedlowy
komitet społeczny, który widziałby cało-
kształt spraw tej największej w Łodzi dziel-
nicy mieszkaniowej. Dąbrowie brak przy-
tom podstawowych inwestycji kulturalnych,
co jest tym przykrejsze, że zamieszkiwana
jest w większości przez ludzi, z którymi
pracę kulturalną trzeba zaczynać od pier-
wocin.

Dąbrowa potrafiła sobie wychować war-
tościowych działaczy społecznych. Oprócz
ludzi, o których była już mowa w tym re-
portażu, wyróżniają się w pracy inni prze-
wodniczący komitetów blokowych tacy choć
by jak Waław Malinowski czy niestrudzo-
ny Piórkowski. To tylko przykładowo, wy-
silek większości tych ludzi jest anono-
my, bo taki już jest charakter pracy spo-
łecznej. Ale efekty ich pracy nie są i nie
mogą pozostać anonimowe. Dąbrowa się
zmienia. Zmiany są uderzające. Od zasięgu
tych zmian zależy, czy Dąbrowa stanie się
najwspanialszą dzielnicą nowej Łodzi.

KONRAD FREJDLICH

TADEUSZ GIGGIER REPORTAŻ ZE SZCZECINA

Polaków nie trzeba zachęcać do
podróży. Nie wiem, czy i w jakim
stopniu Międzynarodowy Rok Tury-
styk wpłynął na wzmożenie wyjaz-
dów zagranicznych. Wiem, bo do-
świadczyłem tego na własnej skó-
rze, iż jak co roku w okresie let-
nim krajowe pociągi pęcznieją od
podróżnych, jadących z gór nad mo-
rze, znad morza w góry, nie li-
cząc mieszkańców Polski centralnej,
którzy rozjeżdżają się we wszyst-
kich możliwych kierunkach.

Wybrałem się do Szczecina. Wstyd
się przyznać, ale nie byłem tam do
tej pory, a o tym mieście mówi się
coraz więcej w kraju.

Być w Szczecinie i nie odwiedzić
zamu Książąt Pomorskich, to jak-

by pojechać do Krakowa i pominąć
Wawel. Zamek stoi na cyplu wyso-
kiej skarpy, z której rozciąga się wi-
dok na baseny portowe, stocznię, żu-
rawie dźwigów i stojące w porcie
okręty. Już z daleka widać odbudo-
waną wieżę zamkową i potężne,
proste w swej konstrukcji mury.
Wzdłuż ulicy Korsarzy, prowadzą-
cej do zamku, stoi kilka białych
autokarów w pomarańczowe pasy.
Odczytuję na nich napis: „A. Leh-
man, K. Zeuthen — Zeuthen b/Ber-
lin”. U wejścia do zamku flagi na
rodowe i wielkie napisy zachęcają-
ce do odwiedzenia wystawy „Na
polskich szlakach turystycznych”,
obrazującej 12 najbardziej atrakcyj-
nych regionów kraju. Inne napisy
zapraszają na kiermasz „Cepelli” i
na wystawę twórczości amatorskiej
ludzi morza. W przestronnych ko-
rytarzach i w części sal na partez-
rze — planse przedstawiające dzie-
je książęcego grodu, począwszy od
wieku XII po czasy drugiej wojny
światowej, kiedy to zamek uległ
zniszczeniu. Obecna jego odbudowa,
przewodzona od r. 1958, ma przywró-
cić wygląd zamku z lat 1575—1577.

Zaglądam do sali kameralnej, któ-
ra była niegdyś salą kapliczną. Sa-
la jest wysoka (to wrażenie potę-

guje biel ścian), długa, stoją w niej
całe rzędy krzesel. To tu właśnie
odbywają się słynne koncerty przy
świecach i kawię, organizowane
przez Szczecińskie Towarzystwo Mu-
zyczne imienia Henryka Wieniaw-
skiego. Towarzystwo to ma swoją
stałą siedzibę w zamku, podobnie
jak Towarzystwo Wiedzy Powszech-
nej i Szczecińskie Towarzystwo Kul-
tury. Poza tym znalazł tu pomiesz-
czenie Wojewódzki Dom Kultury,
powstało szereg sal ekspozycyjnych,
w których — oprócz wystaw okolicz-
nościowych — odbywa się co roku
Festiwal Malarstwa Współczesnego.
Wszystko to stwarza podstawa, dzie-
ki której zamek Książąt Pomor-
skich uchodzi już w chwili obecnej
za ośrodek kultury i nauki Pomor-
za Zachodniego.

Jednak największą bodaj atrak-
cją zamku stanowi stylowa kawiarnia,
mieszcząca się w dwukondygn-
cyjnych salach na partez-
rze druga sala o lukowych sklepie-
niach; ta niższa, robi nader korzyst-
ne wrażenie. Zdobia ją piękne świe-
czniki i kandelabry, patrzac na nie
pomyślałem że mistrz Ildefonso miał-
by dopiero dzisiaj co opiewać...

Do charakteru całości dostrojony
jest ubiór kelnerek, na który skła-

da się czerwona plisowana spódnicz-
ka, biała bluzeczka i czarna kaftan-
nik. Przywdziana w taki wdzięczny
strój młoda, jasnowłosa kelnerka o
słowiańskich rysach (czyżby też od-
powiednio dobrana?) przyniosła
dwie kawy do stolika, przy którym
zasiedziałem z panem Czejarkiem.
Spotkaliśmy się tu w sprawie sie-
ci. Nie, nie rybackich, choć jeden
ze zwyczajnych dawniej z Łodzi li-
teratów, Czesław Schabowski, zwi-
azał się od paru lat z morzem, w
którym łowi węgorze, szczupaki, san-
dace, okonie i — ciekawe opowia-
dania z życia rybaków. Moja roz-
mowa z p. Czejarkiem miała doty-
czyć sieci placówek kulturalnych i
regionalnych towarzystw, które po-
wstały w Szczecińskiem w okresie
ostatnich czterech lat. Zaczęło się
od tego, że w lutym 1963 roku Egze-
kutywa KW PZPR ogłosiła „list
otwarty” do instancji partyjnych i
aktywu. List ten poddawał krytyce
rozmięczenie placówek kulturalno-

oświatowych, nienadążanie za potrze-
bami zwłaszcza ludności wiejskiej,
zwracał uwagę na odpowiedzialność
szczecińskich środowisk twórczych za
upowszechnienie kultury. Był to jed-
nak przy tym list konstruktywny,
wytyczał nowy program: tworzenie
wspólnymi siłami na wsiach i w
małych miasteczkach nowoczesnych,
kompleksowych placówek kultury, a
w powiatach — regionalnych towa-
rzystw społeczno-kulturalnych.

Był to początek szeroko zakrojo-
nej akcji kulturalnej, która trwa po-
dziś dzisiejszy. Już w pierwszym
roku jej realizacji powstało w Szce-
cińskiem trzydzieści Rejonowych
Ośrodków Kultury, które tworzone
łącząc środki finansowe rad naro-
dowych, spółdzielni i zakładów pra-
cy, przeznaczone na upowszechnie-
nie kultury, zespalać w jeden
organizm dotychczasowe świetlice,
biblioteki i kluby. Obecnie takich
ośrodków jest blisko sto. Początko-
wo były one filiami Powiatowych

WIELKI CAMPING

Od Piotrkowa szosa szeroka, wygodna. Po jednej stronie biegnie wąski tor ciuchci. Ciuchcia to zabytek bardzo użyteczny. W 45 minut można pokonać przestrzeń 15 kilometrów z Piotrkowa do Sulejowa. Tylko trochę wolniej niż prawdziwym pociągiem.

Od przystanku Polanka na szosie zaczynają się pojawiać nagusy. Nie całkiem dostojne, ale w skąpych kostiumach kąpielowych i slupkach. Na tej samej wysokości, między drzewami zaczynają prześwi-

roku udzielono zezwolenia jeszcze dwóm i na tym koniec. Więcej nie będzie. Nie ma możliwości, nie ma zaplecza.

Już dziś na każdym turnus przyjeżdża bez mała 2.500 osób. Sezon trwa tu cztery miesiące (od czerwca do września), turnusy przeważnie dwutygodniowe, więc w sumie przeżywa się około 20 tysięcy osób. Nie licząc niedziel, kiedy to krewni, znajomi i nie-

kanali na Pilicy. Na wysokości Sulejowa powstanie zalew — sztuczne jezioro. Nowe perspektywy dla miasta.

wielkie kąpielisko, przystań wodna, jakie tam w najbliższych latach powstana, dają szansę stworzenia w Sulejowie wielkiego ośrodka turystycznego. Takie atrakcje w centrum Polski ściągają będą tysiące ludzi. Ale do tego muszą być hotele turystyczne, gastronomiczne zakłady, zaplecze urządzeń sanitarnych itd., itp. Pod tym względem do dziś Sulejów to tabula rasa. Dwa lokale gastronomiczne, już dziś niewystarczające — to niemal wszystko.

W miarę zbliżania się do Sulejowa liczba kolorowych domków po lewej stronie szosy gęstnieje. Spontaniczne napisy „Precz z ogniem” mają swoje uzasadnienie. I skuteczność, bo (tju, tju) pożaru dotychczas nie było. Kto tego nie zobaczy, nie uwierzy — wymyślono różnych modeli, wzorów i wariantów domku campingowego. Od najprymitywniejszych, do zniu przypominających kształtem psa budę po luksus z bieżącą wodą w środku. Luksusu jest niewiele, przeważa prymityw. Dla rekompensaty — im prymitywniejsze wnętrza, tym kolorowiciej, jaskrawiej pomalowane ściany. Na żółto, czerwono, zielono, pomarańczowo, fioletowo, niebiesko — we wszyst-

botanika oraz Gwidon Miklaszewski.

34 hektary sulejowskich lasów to jedno wielkie obozowisko campingowe. Działki przylegają do siebie ściśle, oddzielone drutem lub tylko słupkami. Mimo tak bliskiego sąsiedztwa ludzie nie znają się wzajemnie, nie wiedzą kto mieszka obok, kto trochę dalej. Żyją w zamkniętych kregach, nie przejawiając zbytnich zainteresowań towarzyskich. Bo camping to wczasy rodzinne. To urlop, który rodzice poświęcają dzieciom. Często zdarza się tak, że na dwa tygodnie przyjeżdża ojciec, na dwa matka. Żeby dzieci cały miesiąc były na wsi. Ale często przyjeżdżają całymi rodzinami.

Względnie to wszystko co powiedziałam wyżej, to nie jest to jeszcze etap bujnego rozwoju kultury wyższego szczebla. Jeśli się jednak obejrzy campingi najnowocześniejsze — domki z bieżącą wodą, dobrze prowadzoną stołówką, świetlicą i czymś na kształt kawiarenki, to już można wymagać. W większości ośrodków (nawet tych bez stołówek) istnieją skromne świetlice z telewizorem, nie mówiąc już o radiodobrym. Piłka, gry towarzyskie, warcaby, szachy, badminton, w zamożniejszych nawet bardziej wyszukane jak np. bilard. Jak by kto chciał potać się, to od biedy też można, ale specjalnie nikt się do tego nie pali.

Na brak rozrywek kulturalnych nikt nie narzeka. Nie

nia tym, co się dzieje obok. A poza tym, tak między nami, to czy dyrektor zza biurki, pluskający się w Pilicy, w dodatku nie umiejący pływać budzi ten sam respekt, co dyrektor zza biurki swego gabinetu? Czy szef uciekający przed chrabaszczem, lub okładający kwaśnym mlekiem poparzone ramiona może być przedmiotem uniozonej adoracji?

Prymityw jest istotnie. Dlaczego więc mimo to wszystkie braki, niedogodności i mankamenty ludzie z roku na rok coraz chętniej jeżdżą na camping, dlaczego coraz więcej zakładów pracy chce budować ośrodki campingowe? Dlaczego nie nie wskazuje na zmierzch, a wszystko na rozwój campingu?

Bo ta forma wczasów ma wiele nieodpartych walorów. Przede wszystkim jest tania, na pobyt na wsi może pozwolić sobie cała rodzina, koszty utrzymania na ogół nie przekraczają kosztów utrzymania w mieście. Bliska odległość od miejsca zamieszkania — to tania podróz, nie męcząca, często zakładowym samochodem, bez walki o miejsce w pociągu. I wreszcie swoboda, nieskrępowanie. Nie potrzeba kompletować strojów, wystrzącać kretonowe sukienki, opalać się można — excuse moi — w biustonoszu i figach, nikt nie ma za złe. Wbrew pozorom w tym ciasnym światku między drzewami można się całkowicie odizolować od otoczenia.

Więc rzecz nie w tym, żeby camping zwalczać i likwidować, lecz żeby ulepszać, cywilizować, dać wczasowiczom warunki jak najwygodniejszego, najlepszego wypoczynku.

Kondek wrócił znad Pilicy nieco pokrzepiony na duchu.



tywać kolorowe sylwetki domków campingowych. Rozpoczyna się WIELKI CAMPING, ciągnący się aż do brzegów Pilicy. Głosy na szosie też ciągną do Pilicy. Pilica zastępuje tu wszystko: Morze Bałtyckie i Czarne, Adriatyk i Jeziora Mazurskie, łazienki i kąpiele. Gdyby można, zastąpiłaby i wodę do picia, ale nie można. W pewnym sensie spełnia pokładane nadzieje. Woda względnie czysta, jeszcze nie zatruta przez fabryki, a tłupek taki sam jak w Sopotcie, czy Warnie. Milicja rzeczna ma kupę roboty z kontrolowaniem kart pływackich. W miejscach nie strzeżonych samorzutnie organizuje się samopomoc sąsiedzka. Sami znajomi, więc wiadomo kogo pilnować. Przy dziełach dyżury na zmianę.

środkami lokomocji — w Hczbie około 6 tysięcy przyjeżdżają tu na świąteczny odpoczynek. A Sulejów ma właśnie tylu stałych mieszkańców. Jak miasto to wytrzyma? Chyba nie najgorzej, skoro stali mieszkańcy skarżą się na brak wody sodowej i innych napojów chłodzących. A niby w Łodzi to można je dostać. W Sulejowie też inwazję campingową traktują mniej więcej jak coś pośredniego między darem niebios a dopustem boskim. Trochę

Jak się to zaczęło? Właściwie to nikt nie wie, nawet w Prezydium MRN w Sulejowie nie pamiętają. Cztery lata temu Huta Kara z Piotrkowa wystąpiła z prośbą o zezwolenie i wprowadziła się pierwsza. Potem Huta Hortensja, ZPB im. Nowotki, ZPB Pabianice. Sulejowskie lasy upstrzyły się kolorowymi mi budkami. Dziś na bez mała 34-hektarowym terenie lasu 36 zakładów pracy z Łodzi, Piotrkowa, Pabianic ma ośrodki campingowe. W tym

więcej jako to pierwsze. Bo mimo masy kłopotów przecież się o Sulejowie mówi w kraju, bo dzięki temu będzie nowe kino, bo dzięki temu, przy okazji kanalizowania terenu campingowego i miastu otrzyma kanalizację. No a w przyszłym roku zacznie się budowa wielkiej inwestycji

kich odcieniach i gamach. Zabka, Malinka, Kałuża, Kruśszynka, Motylek, Krówka, Pszczółka, Borówka. Pomyślów nie mniej niż w wierszu Gałczyńskiego „Imiona mojej starej”, który popularny jest z gitarą Tadeusz Chyła. Do tego malarstwo ścienne: cały Disneyland, cała zoologia i

mi. Czy to dla dorosłych odpoczynku?

Pierwsi campingowicze, którzy zobaczyli grali w karty. A w ogóle to jak się odpoczywa na campingu? Dzień odpoczynku kobiet jest ujęty w dość ścisłe ramy. Związka jeśli na działce nie ma wody oraz stołówki. Wodę nosi się z najbliższej studzienki, która czasem jest bardzo daleko. Dł niektórych ośrodków dowożona jest beczkowozami z Piotrkowa. Mam nadzieję, że zaopatrzenie w wodę należy do mężczyzny. Kobiety szykują śniadanie, wyprawiają dzieci nad rzekę, zabierają się do obiadu — zakupy i gotowanie, potem podają obiad, myją naczynta, robią przepierkę i szykują kolację. A potem to już mogą nie robić.

Się wodociągowa nie objęła jeszcze całkowicie terenów campingowych. Na 22 lipca miała być ukończona ostatecznie, ale zakłady pracy ociągają się z regulowaniem należności. Koszt jest spory, 2 miliony złotych, na poszczególne zakłady przypada od kilkudziesięciu do 200 tysięcy zł. Z tak zwanym komfortem jeszcze gorzej. Budowę kanalizacji rozpocznie się w przyszłym roku. Na razie komfort mieć się w dyskretnie ukrytych domkach między drzewami, głównie tym różniących się od mieszkalnych, że nie pomalowane.

Ale właściwie to ja pojechałam do Sulejowa „po linii życia kulturalnego”. Jeśli się

dlatego, że jest ich pod dostatkiem. Zapotrzebowania brak. Ludzie chwalać sobie spokój i ciszę a jak jest pogoda, to niczego do szczęścia nie potrzeba.

Styczy się ostatnio głosy podważające całkowicie rację istnienia campingów organizowanych przez zakłady pracy. Ze marnowanie środków społecznych, prymityw, niezdrowa atmosfera hierarchii



zawodowej przeniesiona z zakładu pracy na teren wypoczynku, plotkarstwo, służalczość itd. Celowością wydatkowania społecznych pieniędzy na ośrodki campingowe nie będą się zajmować, bo wymagałoby to głębokiej analizy ekonomicznej, a na tym się nie znam. Z atmosferą uniozonej to już gruba przesada. Mieszkańcy poszczególnych domków przejawiają całkowity brak zainteresowa-

Tu wcale nie jest tak źle — powiedział. I pokręcił głową. Kondek jest esteta i dlatego na rysunku utrwalił tylko najwytworniejsze domki campingowe. Tak wygląda przyszłość campingu.

Wracaliśmy do Łodzi szosą piotrkowską. Głosy ciągnęły znad Pilicy na kolację. Po drodze minęła nas ciuchcia.

Domów Kultury, a następnie przeszły na samodzielny rachunek gromady czy miasteczka.

Tak wygląda w najogólniejszym zarysie głośny szczeciński „eksperyment kulturalny”. Już w tej chwili mówi się o tym, że zdał on całkowicie egzamin. Przyniósł z jednej strony spore oszczędności (oblicza się, że każdy taki ośrodek, organizowany od nowa ze szczebla wojewódzkiego, kosztowałby ok. 250 tys. złotych), z drugiej — wyzwolił inicjatywę społeczną, zintegrował środowiska twórcze i podniósł ich rangę, uatrakcyjnił formy upowszechnienia kultury, otworzył szerokie pole do działania tzw. inicjatywy od dolnej, zespolonej w jeden program. W niektórych powiatach, jak np. w powiecie chojeńskim, myśliborskim, choszczeńskim, kamieńskim — społeczny wysiłek dał rozwojowi kultury w ciągu ostatnich trzech lat więcej, niż w ciągu poprzednich osiemnastu.

Pan Czejaręk, sekretarz Szczecińskiego Towarzystwa Kultury, przyniósł na spotkanie ze mną pekatą teczkę, w której znajdowały się publikacje reprezentowanego przez niego Towarzystwa oraz jedenastu regionalnych towarzystw kultury, powstałych po roku 1963. A więc „Almanach szczeciński”, wydawany wspólnie ze Związkiem Literatów i Związkiem Twórczym, efektywny „Rocznik Kamieński”, kilka informatorów i broszur okolicznościowych. Biorę do ręki jedną z nich, zatytułowaną „Dlaczego w Myśliborzu”. Broszura dotyczy wojewódzkiej Inauguracji roku kulturalno-oświatowego 1966/67 i stara się uzasadnić, dlaczego właśnie za miejsce tej inauguracji wybrano Myślibórz. Jest to oczywiście wyróżnienie z racji ostatnich osiągnięć powiatu na polu kultury. Dzięki działalności Myśliborskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego powstał fundusz rozwoju kultury, scalający środki

pieniężne na ten cel. Fundusz osiągnął niebagatelną sumę ponad 2 milionów złotych, która dała możliwość wyremontowania, unowocześnienia i odpowiedniego wyposażenia całej tzw. bazy kulturalnej.

Szczecińskie Towarzystwo Kultury nie jest bynajmniej urzędem, któremu podlega towarzystwa regionalne. Jest — jak to nazwał mój rozmówca — ciałem inicjującym i programującym, natomiast realizacja programu należy już do Wydziału Kultury, na którego czele stoi p. Daniszewski (z nazwiskiem tym spotkałem się wielokrotnie w czasie „rozmów szczecińskich” to dowód zasłużonej chyba popularności). Niedawno Towarzystwo podało pod dyskusję towarzystw regionalnych, posiadających notabene różne nazwy i różne programy — wojewódzki plan rozwoju kultury. W wyniku tej dyskusji wprowadzono korekty do planu, obejmujące 25 proc. dotychczasowych założeń.

Owo rozbudzenie inicjatywy społecznej ma, rzecz jasna, rozmaite aspekty, nie wszystkie równie pożądane. Tu i ówdzie dochodzą do głosu hobbisci, dają się zaobserwować tzw. radosna twórczość. Dlatego rada Towarzystwa postawiła ostatnio na porządku dziennym problem hierarchizacji imprez kulturalnych. Chodzi po prostu o stworzenie właściwej polityki imprezowej, zabezpieczającej odpowiednie środki pieniężne na imprezy istotnie wartościowe, takie jak wspomniany już Festiwal Malarstwa Współczesnego, Szczeciński Tydzień Teatralny, będący ogólnopolskim przeglądem teatrów małych form, Festiwal Poezji Współczesnej imienia K. I. Gałczyńskiego, Festiwal Muzyki Kameralnej i Organowej w Kamieniu Pomorskim itp.

Szczecin — jak wynika choćby z nazwy wymienionych imprez — ma ambicje bardzo współczesne. Nie tylko jednak współczesne, ezesto —

nowoczesne, i to w tym znaczeniu, które nie budzi sprzeciwu czy oporu, a wręcz przeciwnie — zachęca do naśladowania. W każdym razie jako lodzianin, bardzo bym sobie życzył, żeby zachęcało.

Przed odjazdem ze Szczecina wszedłem na wieżę zamkową. Bardzo zachęcała mnie do tego dawna koleżanka z Łódzkiej Rozgłośni, Alicja Maciejowska, obecnie patriotka szczecińska. Widok z wieży jest istotnie frapujący. Tu dopiero można się przekonać, że Szczecin to miasto zieleni. Kępy drzew przetykają wszędzie i stara zabudowa, i nowe osiedla, nawet wieżowce zdają się wyrastać z ogrodów.

Odwiedzić koniecznie Szczecin, rezerwując sobie jednak znacznie wcześniej miejsce w hotelu. Chyba, że macie tam znajomych. Ja na szczęście mam i to mnie uratowało.

MGLA

Z gajówki w Wilczkowicach wyszli przede dniem, po ciemku jeszcze. Drogę znali na pamięć: ścieżką do duku, duktem prosto aż do końca lasu, dalej znajoma, wygodna ścieżka aż do strumienia, drewniana kładka na drugą jego stronę i po jakichś dwustu metrach zostanie pierwszy z nich...

Przeszli drogę duktem nie rozmawiając z sobą, dopiero za lasem, już na bagnistej ścieżynie odezwał się mecenas Zarzycki:

— W lesie jeszcze jako tako, tu mgła jak ściana. Jak się rozejdzie, powinniśmy mieć dobrą pogodę.

— Niech tylko kaczki będą — powiedział doktor Kafliński.

— Nie martw się! — roześmiał się dyrektor Wyrzykowski. — Kaczki będą, a mgła nad wodą, nad meczarami zawsze jest wiek szta.

Schodzili teraz po łagodnym stoku, nogi same niosły, a pod butami szeleściła mokra trawa. Schodzili do mokradeł, na grunt forflasty, porznięty tafłami wody, skapany teraz we mgle, królestwo kaczek: krzyżówek i cyranek. Moczydła znali doskonale, mieli swoje stanowiska sprawdzone i wypróbowane w niejednym polowaniu — ostatnio nie dalej, jak przed tygodniem.

Kafliński, który szedł pierwszy, powiedział wesoło:

— Ostatnio dobrze mi się strzelało przy krzakach olszyny — dobrze kryją, a kaczki lubią przelatywać tamtędy.

— Zostań tam i dzisiaj — rzucił Zarzycki. — Ja idę na swoje miejsce.

— Będę między wami — oznajmił Wyrzykowski — przy stertach torfu, tam też było nieźle.

Doszli do strumienia, odszukali kładkę i przedostali się na drugą stronę.

— Tyle widać, co w piekle, z tą tylko różnicą, że tu biało — mruczał Zarzycki.

— Gdybym nie był tu dziesiątki razy, nie wiedziałbym, gdzie iść, daje słowo! — powiedział Wyrzykowski.

Przeszli jeszcze ze sto kroków i Kafliński został. Rzucił za odchodzącymi:

— Nie marnujcie prochu.

— Ty też nie marnuj! — odkrzyknął.

Kafliński stał chwilę w miejscu, nie śpieszył się. Zarzycki miał do przejścia jeszcze kilometr, a Wyrzykowski niewiele mniej — do świtu było sporo czasu. Obok ścieżki wydeptanej w trawie płynął strumień — Kafliński słyszał szmer wody, ale nie widział jej. „Cholerna mgła” — pomyślał i jakby chcąc się upewnić, że obok rzeczywiście cie płynie woda, poszedł kilka kroków w tym kierunku. Strumień płynął obok, woda połyskiwała matowo. Wrócił na ścieżkę i ruszył naprzód, wkrótce znalazł wysoko ściany pionych drzew, przy którym skreślił w lewo — gdzieś tam, na wprost pnia powinno być jego stanowisko, jakieś sto kroków, może

sto dwadzieścia. Szedł ostrożnie, bo widoczność była nie większa, jak na odległość wyciągniętej ręki. „Głupie uczucie — stwierdził — jakby człowiek znajdował się wewnątrz jakiejś olbrzymiej paczki waty”.

Zawierzył kępe trawy i prawa noga, wysunięta do przodu, zaryła się głęboko w mlekki mazi. Wyszarpnął nogę, ale woda zdążyła się przedostać za cholewę gumowego buta. „Nic nowego — pomyślał — zawsze tu tak było, niektóre kępy oszukują, toną pod ciężarem”. Cofnął się o krok i spróbował iść trochę w lewo. Kępy były, gdy dotykał ich stopa, stawały dostateczny opór — jedna, druga, trzecia. Posuwał się w wyznaczonym przez siebie kierunku wolno, uważnie, z kępy na kępe — gumowe buty zagłębiały się raz więcej, raz mniej, ale stopy zawsze znajdowały oparcie. „Jeszcze z pięćdziesiąt kroków — obliczał w myślach — i powinni być olszyny”.

Wydało mu się, że posuwa się do przodu zbyt wolno, że straci za dużo czasu. Przyspieszył kroku. Przyspieszył i zaraz znów się oszukał — w torflastej mazi utknęła lewa noga, kępa tonęła. Cofnął szybko nogę i spróbował w prawo. Było — znów dobrze, kępy nie tonęły. „Swoja droga ta cholerna mgła powinna się już przetrzeć — całkiem biało, jak w ruskiej łaźni”.

Niespodziewanie kępy traw skończyły się jak uciał. Poszedł w lewo, potem w prawo, ale kępa nie było. „Czyżbym zmylił drogę? Niemożliwe, strumień jest za mną, pień drzewa za mną, mogłem najwyżej trochę zboczyć, parę metrów, nie więcej. — Uczuł lekką niepokoju, ale tylko przez chwilę. — Głupstwo, na pewno idę w dobrym kierunku”.

Szedł dalej, z uwagą stawiając nogi. Było zupełnie dobrze — pod butami szeleściła trawa, miękka, uginająca się, ale będąca pewnym oparciem dla stóp. „Jeszcze ze dwadzieścia kroków i stane, krzaki odszukam, jak to świniństwo się rozejdzie” — postanowił. Przebył te dwadzieścia kroków i zatrzymał się. Spróbował nogami wytrzymałości gruntu i uspokoił się zupełnie. Stał w wodzie, chlupała pod butami, ale nie wlewała się za cholewy, a grunt, chociaż się ugiął, trzymał dobrze. Zdał dubeltówkę zawieszoną na szyi i założył ją na ramię. Wyjął z kieszeni kurtki paczkę dukatów i zapaliki. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko. „Pierwszy papieros smakuje najlepiej. Wydmuchiwał dym mocno, cała siła płuc — waskim stożkiem, dym wtapiał się w mgłę, rozpyliwał w niej. „Mgła jest jak dym, tyle że nie dym” — pomyślał i wyciągnął rękę przed siebie. Zdziwił się, bo ogieniek papierosa był ledwie widoczny. „Jeszcze niedy w takim mleku nie byłam” — stwierdził.

Upłynęło z dziesięć minut i Kafliński zaczął się denerwować. Nie dlatego, by rodzila się w nim jakaś obawa, przecucie czegoś złego, lecz dlatego, że gesty opar bynajmniej nie rzedniał, widoczność nie zwiększała się ani na jotę, a czas zaczął się wlec niemiłosiernie. „Powinniśmy już strzelać w najsilniejsze” — stwierdził z pasją myśliwego, oczekującego przygody. Podniósł ręce do oczu i spojrzął na zegarek. Minęło już dobre pół godziny, jak rozstał się z Zarzyckim i Wyrzykowskim. „Ta cholerna mgła, te opary stoja dokoła jak murowana ściana, a powinno się już zacząć najwyższy czas”.

Wyrzucił nie dopalonego papierosa, sięgnął po dubeltówkę, złamał ją i włożył do łuf dwa ładunki. „Zaraz się zacznie”. Pod nogami chlupnęła woda, obmywając cholewy butów. Pomyślał, że dobrze byłoby jednak odszukać krzaki, które przecięły mu szta gdzieś w pobliżu. Ruszył przed siebie stawiając nogi z największą uwagą. „Idę jak ślepy — pomyślał i jednocześnie doznał dziwnego uczucia. Grunt, po którym szedł, ugiął się elastycznie, jak bułtawka. — Jakbym szedł po wielkiej, gumowej pilce, źle nadmuchanej”. Zatrzymał się i doznał

pierwszego, wyraźnego uczucia niepokoju. „Ki diabeł? Czyżbym zbladził? — Przypomniał sobie drogę, jaką przeszedł od pnia drzewa przy strumieniu i pocieszył się: — Nie mogłem zbladzić, mogę być najwyżej parę metrów w prawo lub w lewo, bliżej lub dalej”. Jednocześnie usłyszał huk dwóch strzałów. „To Zarzycki — odgadł — miał stanąć najdalej”.

Huk strzałów przywrócił mu spokój. „Jeżeli strzela, to znaczy, że już coś widzi, mgła rzednie”.

Spojrzął dokoła i zaklął: „Cholera. Tam się rozrzedza, a tutaj jest w dalszym ciągu gesta jak wata”.

Upłynęło parę minut i chociaż Kafliński wytrzeszczał oczy, nie widział żadnej zmiany na lepsze — odwrotnie, wydało mu się, że mgła jakby oblepiła go teraz szczelniej.

Przełknął z trudem ślinę i zdziwił się: gardło miało wyschnięte. „Stoje w wodzie, odycham wilgotnym powietrzem, a gardło suche...”. Poczł znów niepokoju, usłyszał bicie własnego serca. „Denerwuję się niepotrzebnie — tłumaczył sobie — jeszcze trochę cierpliwości”. Siegnął po nowego papierosa, zapalił, zaciągnął się, ale nie czuł smaku tytoniu. Wyciągnął rękę przed siebie, śle dząc ogieniek, i po raz pierwszy przestraszył się — ogieniek zniknął. „Mgła jeszcze większa, przedtem przecie widziałem...”. Usłyszał znów dwa strzały, teraz z bliższej odległości. „To Wyrzykowski, miał stanąć przy torfach”. Huk tych strzałów nie uspokoił go teraz, przeciecznie zmował przestraszony. „Jeżeli tamci strzelają, to widzą, gdzie wla zlem”. Poczł, że czło ma spoczone. Wytarł je ręką. „Cholera, zimny pot, gdzie jestem, co z tą mgłą?” Usłyszał znów dwa strzały, niosły się z daleka. „Oni już polują”. Prawie w tym samym momencie usłyszał gdzieś nad sobą świst kaczycy skrzydeł — musiał lecieć kilka, niewysoko nawet, bo dostrzegł głośnie kwakanie. Dwa bliższe hukki dowodziły, że strzelał teraz Wyrzykowski. Kafliński czuł głośnie bijące serce, znów wytarł pot z czoła. Nie usiłował już opanować uczucia niepokoju. Bał się. Zrozumiał, że stało się coś złego, że wlokował się w jakąś kabałę, ale jaką? „Mgła — stol jak mur...”. Gorączkowo szukał ratunku, jakieś wyjście z sytuacji, której nie rozumiał, a której instynktownie się bał. „Wycofać się? Nie wolno. Może być jeszcze gorzej. Krzyżówek? Nie usłysza, zbyt duża odległość. Strzelać? Pomyśla, że poluje, tak jak oni...”

Zainteresował się, na czym właściwie stoi. Nie dostrzegł własnych nóg, tonęły we mgle. Żeby coś stwierdzić, przysiadł trochę obliczonym ugięciem kolan — to pod nim ugięto się wyczuwalnym ruchem i zaraz potem podniosło. „Jak materac”.

Zarzycki i Wyrzykowski strzelali już na dobre: strzał daleko, strzał bliżej, dwa daleko, jeden bliżej — szum waczych skrzydeł dochodził teraz stale. „Polują w najlepsze, kaczek dużo”. Nie odcierał już potu z czoła, był cały mokry, ciepła podkoszulka lepiła się do pleców i piersi. „Opanuj się — powiedział sobie — tylko spokój...”. Spojrzął w górę. Wydało mu się, że nad nim jest nieco jaśniej, mgła w górę jakby rozrzedła i coś przez nią przebiega, jakiś promień światła. A może to złudzenie? Odczekał chwilę i znów podniósł głowę. Nie, nie złudzenie chyba, tam jest naprawdę jaśniej. Serce uderzało szybko, uczenił się tej nadziei. Po tem przez długą chwilę nie patrzył w górę — czekał, żeby lepiej zobaczyć różnicę, żeby się przekonać, jak jest naprawdę. Zarzycki i Wyrzykowski wciąż strzelali, i przewrąmi, nie za często, a całe moczydło żyło już normalnym życiem — kwakanie kaczek i łopot ich skrzydeł świadczyły o tym wyraźnie.

Wreszcie odważył się spojrzeć w górę i doznał uczucia radości. W górę, nad nim jaśniało, przebijając się światło. Przybywało go z każdą chwilą, mgła rozpraszała się. Biały

pułap, który wisiał nad nim, wyraźnie się obniżył — sięgnąłby go teraz ręką, tak był blisko. Po jakimś czasie wydało mu się, że ten pułap opuszcza mu się na głowę. Niedorzeczne, ale ugiął nogi w kolanach, jakby chciał uniknąć zmiążdżenia. Kiedy się wyprostował, oślepiło go światło, promienie słońca. Zobaczył nagle niebieskie niebo i czerwoną kulę słońca po lewej stronie, nisko nad widnokręgiem. Zobaczył jednocześnie krzaki olszyny, których szukał na próżno, i przeraził się — jego głowa była na wysokości tych krzaków, ich dolnych pedów. Uczł, że pot oblepia go całego, a strach o bezwładnia. Błyskawicznie zrozumiał sytuację: stał w jakimś dole, w jakimś olbrzymim leju, w niecce utworzonej pod wpływem jego ciężaru — stał na powłoce trawy i zielska, na koźuchu uginającym się pod jego stopami, z głową na poziomie torfowiska. Wyobraził sobie, że jeżeli koźuch pod nogami pusa, to tylko chlupnie, a on w oka mgnieniu zniknie w czeluści błota, która jest pod nim, pod kępami trawy. Koźuch wyprostuje się, podniesie, a on zostanie na dnie bagniska... W odruchu rozpaczy pomyślał o żonie, o synu. „Co zrobi Stefa, jak sobie da radę, Jacek pojutrze zdaje egzamin... mnie nikt tu nie znajdzie, jak kamień w wodę...”. Zwarł zęby aż do bólu, bo uczł gwałtowną potrzebę krzyku, wołania o pomoc. Uświadomił sobie jednocześnie, że jeśli to zrobi, straci resztki opanowania, zacznie działać na oślep, miotany strachem i rozpaczą. „Jeżeli tu wszedłem, to i wyjdę” — pomyślał. Mgła opadała szybko, sięgała już tylko do pasa. Ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów, sięgnął z ramienia dubeltówkę. Wziął ją w obie ręce i krok za krokiem zaczął wycyfować się z pułapki. Stawił krok mały, z wyczuciem, chcąc w ten sposób zmniejszyć jak najbardziej ciężar swego ciała. Koźuch ugiął się pod nim, czuł to teraz wyraźnie każdym mięśniem, każdym nerwem. Pot zalewał mu oczy, ale nie zwracał na to uwagi, z każdym krokiem nabierał odwagi. Prawa noga, wysunięta do przodu, trafiła w próżnię, a Kafliński w tym samym ułamku sekundy rzucił się przed siebie z dubeltówką w wyciągniętych rękach. Trwał chwilę w bezruchu, świadomy oślepiającej prawdy, że nie tonie, że leży wyciągnięty na powłoce, która go utrzymuje. Rękoma, przy dubeltówce, wyczuł kępę trawy, zbawczą kępę trawy. Uchwycił tę kępę rękoma i podciągnął się, nie dbając o but, który został pod koźuchem. Ten wysiłek wyczerpał go zupełnie, prawie zamroził. Nie czuł zimna, choć leżał w wodzie, obleplony zielskiem. Wrócił się, poczuł chęć podniesienia się, ale zaraz z niej zrezygnował, z tego zamiaru — nie chciał niczym ryzykować. Wczołgał się na kępę trawy i odpoczął. Potem, czolgając się na brzuchu odnalazł drugą kępę, a potem następną — trzecią, piątą, dziesiątą... wreszcie kawałek twardego gruntu, wciągnął się nań ostatkiem siły...

Leżał na trawie dysząc z wysiłku. Człł uderzenia krwi w skroniach, tak silne, że aż bolesne, i gwałtowne łomotanie serca. Odwrócił się na wznak. Patrzył w niebo jasne, bez jednej chmurki. Patrzył i uczł radość w całym sobie. Nie próbował już panować nad sobą, krzyczał w górę, do nieba, do przelatujących kaczek:

— Jestem!... Żyje!... Jestem!... *

* Fragment książki przygotowywanej do druku.

ALEKSANDER RYMKIEWICZ

BEZRĘKI LAS

Dokąd leciecie, zielone gałęzie —
w głąb.

Czego nie macie, by ziemię kształtować —
rak.

Od pni i korzeni, wietrze północny,
zbow.

Usta zielone szumiąc nie stwórzą
prasz.

Lesie, swą gałąź przed drwala dłońią
skłoń,

lecz lesie bezręki, ciebie nie eplami
broń

Dlatego pieścisz zielenią lejącą
świat,

a człowiek swe ręce w gałązki by zmienił
rad.

WŚRÓD STARODRZEWU

Żywica ścieka

w kubeczki blaszane,

u góry igieł

zielona piana.

Starodrzew się ciągnie

jak stalaktyty,

mrucząc w tej pieczarze

śpiąc zachód i świty,

a noc na gałęzi

tu siada jak puchacz.

Sarna na porębie

leń wzniosła i słucha.

Nieba nocny konar

swe dzikie jabłuszka

otrząsa w sierpniu

nad leśną dróżką

i ścieka żywica

zmarłą błyskawicą

do przedłużonej

człowieczej dłoni.

KORZENIE WIERSZA

Liści zieloną siecią szumiące topole,

dzis słowem prowadzone, posłuszne mej woli,

pamiętam was przed domem nad Trockim Jeziorem,

gdy w wasze kowadłko wiatrów sto młoteczków

biło i serce biło milczącego dziecka.

Któż zgadłby — z sokiem liść słów już płynie pod korą.

Czerwone wodospady jesiennych zachodów,

lejące się na bory, na wieś wśród ogrodów.

Patrzyłem i milczałem w kraju świerków stromych

i pod rdzawioną słomą milczały też domy.

Zostałaby nieznana ma bezbronna

lecz we mnie tak jak żołądź dojrzewało słowo.

Tego wzruszenia dziecka, milczeń maturzysty

nie zgubiłem przez wojnę wędrując z rodziną,

wciąż bębnił dzieciństwa, mej topoli listki

i wiszące u góry powódzie z karmínu

budzić mnie z pączków będą do liści tworzenia —

tam czarnych liter wiersza czarne są korzenie

i jeszcze owa chwila pamiętna.

Fotografia zbiorowa prasy łódzkiej

Książka, którą chcę przedstawić przypomina nieco zbiorową fotografię, na której wszyscy ustawili się w równych szeregach, każdy jest jednakowo widoczny, każdy pragnie zadokumentować swoją obecność. Dopiero trzeba obszernego komentarza aby dowiedzieć się kto jest tu rzeczywiście ważny, a kto przypadkowym gościem. Są wszyscy. Radykał i rewolucjonista stoja obok bigota, wesoly facecjonista obok wrednego donosiciela. Taka zbiorowa fotografia nie stanowi jeszcze historii, ale jest to nieraz konieczny krok dla stworzenia dzieła zbiorowości, która pozwala ustalić listę obecnych.

Wiesława Kaszubina w swej pracy „Bibliografia prasy łódzkiej 1863-1944” dokonała wiele. Zrekonstruowała ową listę obecnych w historii prasy łódzkiej, starała się nie pominąć nikogo. Wynik jej wysiłku może być dla wielu zaskakujący, w tej Łodzi, o której mówiono, że jest pustynią kulturalną, na przestrzeni 80 lat ukazywało się ponad 800 różnych czasopism, z tego 15 w XIX wieku. Znaczy to, że 800 razy zbierały się tu grupy ludzi, aby dyskutować o majacym powstać organie, 800 razy podejmowano ryzyko finansowe i trudne zadanie organizacyjne. W indeksie pracy przewija się ponad tysiąc nazwisk łodzian — bogaty spis osób czynnych w kulturze i gospodarce miasta. Swoją drogą aktywność grup inteligencji pragnącej tworzyć stałe trybuny dla lokalnej myśli nie miała tu podanego gruntu. Pisma, które utrzymywały się tu długo nie były poświęcone muzeum, dzienniki i tygodniki informacyjne i polityczne takie jak „Rozwój”, „Republika”, „Kurier Łódzki”, „Łodzianin” należały do najżywczych. A zaraz obok nich nastawione na prymitywnego odbiorcę pisma sensacyjne i rozrywkowe, jak „Express Ilustrowany” czy „Wolna Myśl — Wolne Zaręty”. Wiele było też czasopism poświęconych sprawom najistotniejszym dla przemysłowego miasta — gospodarce i technice, a głównie włókiennictwie. Dramatyczna walka grupy literatów o utrzymanie w fabrycznym mieście czasopisma literacko-artystycznego kończyła się kolejnymi niepowodzeniami: „Prądy”, „Budowa”, „Kultura Łodzi”, „Wymiary”, „Odnowa” — to pisma, które świadczyły o żywotności środowiska kulturalnego i nieprzychylności miasta, które nie żądało z nich nie potrafiło dłużej utrzymać.

Przegląd tytułów pism obala też jeden ze stereotypów mówiący, że najaktywniejsza kulturalnie grupa w Łodzi stanowią Niemcy. Nie tylko wydawnictwa polskie stanowiły tu przynajmniej większość, ale nawet w trudnym okresie okupacji niemieckiej co najmniej 44 razy podejmowano wydawnictwa czasopism niemieckich, co stanowi liczbę większą niż ogólna ilość

legalnie przez okupanta wydawanych pism niemieckich. I te zresztą Bibliografia stara się pieczołowicie zanotować, bowiem i ich obecność nie jest dla historyka obojętna.

Bibliografia Wiesławy Kaszubiny przynosi bogaty materiał nie tylko dla badacza prasy, ale również jest kopalnią materiałów dla wszystkich interesujących się dziejami miasta. Znajda tu dla siebie materiał zarówno badacz historii ruchu rewolucyjnego, zanotowano bowiem dziesiątki tytułów czasopism nielegalnych z różnych okresów, historycy przemysłu i kultury a także zbieracze ciekawostek obyczajowych, których może np. zainteresować fakt, że grupa ludzi teatru i sztuki podjęła tu wydawanie pisma nocnego pt. „Nocnik teatralny” Tygodnik Satyryczno-Humorystyczny”.

Autorka oprócz szeregu informacji o datach, redaktorach, nakładach, cenach itd. podaje nazwę księgozbioru, w którym czasopismo jest przechowywane. Tu nasuwa się smutna refleksja: wiele cennych wydawnictw jest całkowicie niedostępnych, a zbiory łódzkie przedstawiają się pod tym względem bardzo, bardzo skromnie.

Pożyteczna Bibliografia będzie stanowiła zapewne przez długie lata podstawowe źródło dla historyków prasy i regionalistów — nie chce przez to powiedzieć, że jest to dzieło nie pozbawione pewnych niedociągnięć. Z metodycznego punktu widzenia można mieć do autorki tu i ówdzie pretensje. Np. zwykle nie podaje ona skąd czerpała wiadomości dotyczące tytułów, do których nie udało jej się dobrać, najczęściej też wymieniając współpracowników, redaktorów itp. nie określa w jakich latach współpracowali lub redagowali. Wreszcie pomija szereg jednodniówek i kalendarzy literackich, które jak np. „Łodzianin”, „Łodzianka”, „Życie Łódzkie” miały charakter czasopisma, a umieszcza okolicznościowe ulotki, jak np. niemiecka „Gazeta Weselna” wydana jednorazowo z okazji uroczystości zaślubin Maxa Fischera. Są też heurystyczne luki, które zapewnić mogą jedynie dalsze poszukiwania i przypadkowe znaleziska.

Wreszcie popełniono jeszcze jeden poważny błąd: biorąc pod uwagę przydatność całości, wkład pracy zarówno autorki, jak Wojskowej Drukarni w Łodzi, która nie tylko złożyła trudny tekst, wydaje się niezrozumiały fakt decyzja PWN wydania całości w... 300 egzemplarzach.

* W. Kaszubina, Bibliografia Prasy Łódzkiej 1863-1944. W-wa 1967, str. 279. Materiały i studia do historii prasy i czasopiśmiennictwa polskiego z. 6.



Fot. Antonina Holuba

W witrynach księgarskich pojawiła się książka łódzkiego historyka Zbigniewa Stankiewicza, której tytuł utrzymany jest w konwencjach antycznej historiografii „Dzieje wielkości i upadku Aleksandra Wielopolskiego.” Biografia Wielopolskiego została zaprezentowana czytelnikom na szerokim tle wydarzeń mających miejsce w Królestwie Polskim na przestrzeni pół wieku a dotyczących zarówno historii gospodarczej jak i politycznej.

Chcąc wyjaśnić bogatą i złożoną działalność Wielopolskiego musiał autor naszkicować obraz warunków w jakich przyszło bohaterowi działać. Zadanie nie było łatwe choćby z tego względu, że dużo miejsca w tym obrazie należało poświęcić na sprawy gospodarcze i społeczne, które w opiniach ogółu czytelników a nawet i niektórych profesjonalnych historyków uchodzą za mało ciekawe i mało komunikatywne. Nie była to jednak trudność jedyną i zasadniczą. Znacznie poważniejszym problemem była sama postać bohatera książki.

Wielopolski nie był postacią szablonową i nieszablonowa była jego gra polityczna. Podjął walkę przynajmniej z czterema zorganizowanymi siłami. W piaskach narodowej z caryzm, w płaszczyźnie społecznej z rewolucyjnym obozem czerwonych a wielopłaszczyznowo (sprawy narodowe, polityczne, a często i rozgrywki osobiste) z ludźmi z kręgu Andrzeja Zamojskiego i z biurokracją rosyjską.

Stankiewicz wszystkie te wątki uwzględnił, poszerzając je jeszcze wątkiem życia rodzinnego Wielopolskiego. Ułatwia mu to wykorzystanie ciekawej prywatnej korespondencji Wielopolskich, odsłaniającej wiele intymnych szczegółów z życia Margrabiego. Poniężej zaś Wielopolski bardzo często rozstrzygał wiele kwestii grając w

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

KSIĄŻKA o kontrowersyjnym CZŁOWIEKU

banque książka zawiera duży ładunek dramatyczny.

Czytelnik otrzymuje więc książkę niewątpliwie ciekawą, napisaną dobrym piórem i z dużą erudycją. Zarówno ekspozycje poszczególnych problemów jak i propozycje ich ujęcia nie budzą wątpliwości. Zrozumiałe i szlachetne jest, że na działalność Wielopolskiego w latach bezpośrednio poprzedzających powstanie styczniowe i na lata samego nowostania autor poświęcił ponad dwie trzecie objętości pracy. Plussem książki jest także to, że Stankiewicz potrafił sprawy gospodarcze wpleść w fabułę książki w sposób ciekawy i nie nudzący.

Nie wnosł jednak Stankiewicz nic nowego do dotychczasowej wiedzy historycznej o osobie i polityce Wielopolskiego. Nie można zresztą mieć do niego o to pretensji. Celem książki jest bowiem popularyzacja dotychczasowej wiedzy, a nie prezentacja nowych osiągnięć.

Swoją książką autor deklaruje się po stronie tego nurtu w historiografii i publicystyce, który politykę Wielopolskiego uznaje bez reszty za antydemokratyczną i antypolską. Nie wydaje mi się jednak by ta jednoznaczna ocena była wystarczająca i obiektywna w odniesieniu do Wielopolskiego. Recenzowana książka jest najspokojniejszą z dotychczas opublikowanych o tak kontrowersyjnej postaci jaką był Wielopolski. U-

ważam, że jednak brak jej emocjonalnego zaangażowania autora. Być może Stankiewicz nie chciał prowokować jeszcze jednej burzliwej dyskusji.

Szkoda nieco książkę cechującą ją tendencja do obiektywizmu i unikanie kontrowersyjnych sformułowań. Książka popularnonaukowa powinna nie tylko dawać pewną sumę wiedzy, ale jeśli to jest tylko możliwe w omawianym wypadku ta możliwość istniała jak rzadko kiedy) powinna prowokować czytelnika do własnych przemyśleń i inspirować do głębszego zainteresowania problemem. Z szansy takiej skorzystał swego czasu Ksawery Pruszyński. Szkoda, że nie skorzystał Stankiewicz, nie dorównujący Pruszyńskiemu piórem, ale przewyższający erudycją historyczną i merytoryczną znajomością tematu.

Ciekawe, że Wielopolskiemu czyniono zarzuty często sprzeczne, czego nie uniknął i Stankiewicz. Raz zarzuca mu się nie liczenie się z opinią publiczną, kiedy indziej, gdy ze swoimi programami reform wychodził naprzeciw tej opinii (np. reforma szkolna, równoprawienie Żydów) nie chce się znać jego inlektuwny lecz utrzymuje się, że musiał realizować te reformy, bo dawała się ich opinia publiczna i stawał je na porządku dziennym ruch narodowy.

Ocena reform Wielopolskiego wypadłaby nieco ina-

czej, gdyby autor dokonywał jej na podstawie efektów, a nie na podstawie aktów normatywnych wprowadzających te reformy w życie. Wiadomo przecież, że ani jedna z reform Wielopolskiego nie była zrealizowana w pełni i zgodnie z treścią wprowadzających je w życie ukazów.

Pewne wątpliwości budzi z powodu pominięcia niektórych dość istotnych opinii rozdział „W oczach potomnych”. Tak więc należało chyba pokazać, że już w czasie rewolucji 1905 roku Narodowa Demokracja w przededniu wyborów do Dumy jesienią 1905 r. uznawała za celowe przypomnieć nie Wielopolskiego, a ścisłej jego programu reform. Autorem artykułu wstępnego na ten temat zamieszczonego na łamach Przeglądu Wszelch polskiego był znany już wtedy historyk Wacław Tokarz. Nieprzypadkowo też chyba Władysław Korotyński redaktor zblizniony do endecji Kuriera Warszawskiego opublikował w roku następnym dwie rozprawki o reformach Wielopolskiego („Dawne rady miejskie i powiatowe” i „Losy szkolnictwa w Królestwie Polskim”).

Warto było także zwrócić uwagę czytelników na fakt, że pierwszym, który wskazał na klasowe źródła polityki Wielopolskiego był Adolf Warski jeden z czołowych działaczy SDKPiL.

Polemiki nad oceną postaci Wielopolskiego i jego programu politycznego toczyły się dość często, a najwięcej kontrowersji budziło jego ustąpienie z funkcji w pierwszym rządzie. Szczególnie w pierwszych latach Polski Ludowej, której istnienie oparte było na ścisłej współpracy z ZSRR, niektórzy publicyści chcieli się doszukiwać wzorów tej współpracy w koncepcjach Wielopolskiego. Stankiewicz wyjaśnia błędność tego stanowiska. W prawidłowym wyjaśnieniu błędności takich analogii były w latach 1945-47 dość żywo zainteresowane kierownice czynniki polityczne o czym może świadczyć fakt publikacji w 1947 r. zasadniczego w tej polemice artykułu Celnego Bobińskiego na łamach Nowych Drog organu teoretyczno-politycznego PPR. Nie wiadomo czemu Stankiewicz nie nawiazuje do tego artykułu, choć w osenie Wielopolskiego nie odbiega od ustaleń Bobińskiego.

Nie przekonują mnie generalnie negatywne oceny Wielopolskiego. Niesprawiedliwi byli chyba ci wszyscy, którzy nazywali Wielopolskiego zdrajcą, agentem, karierowiczem. Niesprawiedliwy jest również Stankiewicz, gdy nazywa go „ponurą postacią historii polskiej XIX stulecia” (s. 242). Był Wielopolski raczej postacią tragiczną.

Mimo wielu krytycznych uwag, z których część nie dotyczy zresztą bezpośrednio książki, lecz jest zrobiona na jej marginesie, zachęcam do czytania tej ciekawej i dobrze napisanej książki. Czytelnik będzie miał możliwość przekonać się jeszcze raz, że na marginesie wielkiej polityki zdarzały się sytuacje humanistyczne i zabawne, szczerze mówiąc wtedy gdy aktorem był człowiek obdarzony takim talentem i piórem jak Wielopolski. Stankiewicz nie omieszkaj tego wykorzystać wplatając w fabułę książkę sporo takich rodzynek.

W obronie naiwnych

W młodości lubiłem zajmować się filozofią czyli dyseksją, która nie daje żadnych konkretnych korzyści. Pamiętam, co na ten temat mówił pewien mój znajomy, człowiek światły i wszechstronnie wykształcony: „Filozofia mogą i powinni studiować ludzie bogaci, którzy mają zapewniony byt i nie muszą zarabiać na życie. Filozofia jest czymś bardzo pięknym, ale w sensie użyteczności — czymś zupełnie bez-

plodnym”. Słuchałem tych słów i myślałem: a jednak przyjemnie jest zajmować się tym, na co ma się ochotę. Każdy młody człowiek musi przejść okres „filozofowania”, kiedy to atakują go takie podstawowe pytania jak: co to jest życie, jaki jest sens i cel życia, dlaczego człowiek musi umrzeć, co to jest religia, co to jest piękno, itd., itp. Mimo, iż młodość dawną przeminęła i bardzo wiele zmian szło na świecie, zainteresowanie filozofią nie opuściło mnie całkowicie. Wciąż zaglądam do książek o treściach filozoficznych, zwłaszcza do mego „ulubionego” filozofa — Artura Schopenhauera. Był to filozof pesymista, ale na mnie jego pesymizm działa odświeżająco, żeby nie powiedzieć — optymistycznie. I nawet zapalonych nie studiuj sąsiad, którzy zobaczywszy pewnego dnia na moim biurku pekatko dzieła filozoficzne wykrzyknął: „Panie, i pan to czyta? Przecież filozofia to jest głędzenie o niczym.”

Ostro powiedziane, nie ma co. A właśnie ta książka to był zbiór eseju Arnolda Toynbee'go, w których ten wybitny historyk i filozof angielski penetruje historię po to, aby poszukiwać w niej odpowiedzi na pytania dnia dzisiejszego. Arnold Toynbee, podobnie jak przed nim Oswald Spengler, jest zdania, że kultura świata zachodniego przeżywa okres schyłkowy, że znajduje się w stadium upadku, i szuka dla niej ratunku czyli wyjścia z kryzysu. Otóż w jednym z eseju pt. „Pokusa archaizmu” Toynbee wygłasza następującą tezę: uratowanie kultury będzie możliwe przez powrót do starych, wypróbowanych form. Arnold Toynbee dysponuje ogromną erudycją, ma w małym palcu całą wiedzę o świecie starożytnym, zna gruntownie historię kultury i historię filozo-

fil. A przy tym jest człowiekiem naiwnym, niekiedy naiwnym jak dziecko. Ale teraz powstaje pytanie: czy robić ludziom zarzut z tego, że są naiwni? Naiwność to coś przeciwnego owianictwu, sprytowi i przebiegłości. Naiwny znaczy tyle, co nie udający, szczerzy, prosty, dobronny. Ludzi naiwnych należałoby wziąć w obronę przed różnymi małci kombinatorami, których namnożyło się co nie miara. Boję się, że grozi nam zalew owianictwa, cynizmu, napławiałości czyli po prostu bezideowości.

Człowiek naiwny wierzy w ustalone od wieków zasady postępowania, wie, że historia i świat się zmieniają, ale nie do tyła, aby zaprzęścić wypróbowane i niezawodne wartości. Albo powiedzmy inaczej: człowiek, naiwny to jest taki człowiek, który zna uczucie wstydu, któremu głupio, gdy nie wywiąże się z przyjętego na siebie zobowiązania, które boleje nad upadkiem kultury dnia codziennego, któremu zależy jeszcze na tak wyświechtanych pojęciach jak honor, uczciwość, dżentelmeńskie zachowanie, A cwaniak? Cwaniak kpi z tego wszystkiego. Dla niego człowiek uczelony to tyle, co fajtapa honoru to rekwiwit staroświecki a postępowanie zgodnie z głoszonymi zasadami — to frajerstwo. Cwaniak mówi jedno, a myśli drugie. Cwaniak ukłoni się przynajmniej człowiekowi, którego nienawidzi, podliże się przelozonemu, którym gardzi, wysłucha w skupieniu i zachwycie referatu, o którym myniema jak najgorzej. Cwaniak nie powoduje się odruchami szczerości, cwaniak buduje cały system gier i zabiegów, na które nie stać ludzi otwartych czyli naiwnych. Cwaniak jest mody, a owianictwo w modzie. Słyszałem kiedyś opowieść, jaką jeden człowiek opowia-

dał drugiemu: „Wiesz, ten Romduła znalazł dwa tysiące złotych na podwórzu fabrycznym i zaniósł je do Rady Zakładowej. Pomyśl, co za frajer!” Odpowiadający użył słowa mocniejszego, zachęcającego się na literę d., ale przecież nie wypada mi w eleganckim felietonie szerzyć zgrozzenia.

Człowiek naiwny odnosi się z zaufaniem do ludzi, cwaniak nie ufa nikomu, nawet sobie. Naiwni nie pretendują do zasług, które im się nie należą, cwaniak zabiega o nagrody, na które nie zasłużył. Naiwni starają się być sprawiedliwi wobec innych, cwaniak staje się sprawiedliwy jedynie w stosunku do samego siebie. Człowiek naiwny z trudem zdobywa się na kłamstwo, cwaniak z trudem zdobywa się na mówienie prawdy.

Świat nie zginie, dopóki będą na nim ludzie naiwni. Naiwni to znaczy po prostu uczciwi.

Możliwe czy niemożliwe?

(Dyskusja o kabaretach literackich)

W redakcji „Odgłosów” odbyła się dyskusja, poświęcona sprawom kabaretów literackich Łodzi. W dyskusji wzięli udział: Maria Kornatowska, Maria Lorberowa, Jan Huszcza, Eugeniusz Kamiński, Konstanty Mackiewicz, a ze strony redakcji — Jan Koprowski. Poniżej zamieszczamy wybrane fragmenty z tego spotkania.

JAN KOPROWSKI: Przedmiotem naszej dyskusji jest zastanowienie się nad możliwościami kabaretu literackiego w Łodzi. W „Słowniku terminów literackich” można wyczytać: „Kabaret jest to rodzaj teatru ku z lekkim repertuarem piosenek, skeczy i monologów literackich o charakterze rozrywkowym i satyrycznym”. Moim zdaniem w definicji tej brak rzeczy bardzo istotnej, a mianowicie, że kabaret literacki musi być związany z aktualnościami politycznymi, społecznymi i artystycznymi. Bez aktualności nie ma kabaretu. Chodziłoby więc o to, abyśmy się w dyskusji naszej skoncentrowali na sprawach kabaretów literackich, które w Łodzi od czasu do czasu powstają, a potem umierają, nie zawsze wiadomo, z jakiej przyczyny. Oczywiście nie interesuje nas cały okres powojenny, lecz raczej ostatnie lata. W tej chwili istnieje w Łodzi tylko „Kpiarz”, który zresztą produkuje się głównie poza Łodzią, a i nie jestem pewien, czy to jest właśnie taki kabaret, o jak nam chodzi. Stowem: czy możliwy jest w naszym mieście kabaret literacki, jakie muszą być spełnione warunki, aby taki kabaret powstał i jakie są warunki zagwarantowania takiemu kabaretowi dobrego programu? Zapraszam państwa do wypowiedziania się na ten temat.



MARIA LORBEROWA: Czy, w świetle tego, cośmy tu usłyszeli można uznać, że „Pstrąg” był kabaretem literackim, albo czy „Cytryna” jest kabaretem literackim?

JAN KOPROWSKI: Nie możemy brać pod uwagę kabaretów studenckich, które, po pierwsze: swój okres heroiczny mają już dawno poza sobą, a po drugie: przeznaczone były (lub są) dla pewnego bardzo specyficznego odbiorcy. Nam chodzi o kabarety, które byłyby dla wszystkich.

JAN HUSZCZA: „Pstrąg” miał swoje sukcesy w pewnym okresie.

MARIA LORBEROWA: „Pstrąg” miał sukcesy nie tylko w środowisku studenckim. Kabarety powstawały w swoim czasie, ażeby dać wolną drogę inicjatywy twórczej młodym ludzi. A po wtóre chodziło również o kanalizowanie nastrojów, który nurtował owe środowiska. Teksty i materiały, będące wyrazem ingerowania w sprawy codziennosci, będące wyrazem stosunku wobec problemów współczesności, stawały się ka talizatorami owych nastrojów i zarazem kanalizowały pewne nastroje. Jeżeli chodzi o kabarety studenckie wydała mi się, że miały one przede wszystkim ten walor społeczny, iż były żywe, agresywne, sięgały głębiej w problematykę naszego życia i korzystały z taryfy ulgowej, jeżeli chodzi o swobodę wypowiedziania się. Wiadoma jest rzecz, że słowo wygłoszone ze sceny materializuje się w pewnym pojęciu, nahlęra siły i ważkość. Inny program posiada estrada, a inny — teatrzyk studencki. Teatrzyk studencki korzystał w kraju z szeroko pojętej zielonej drogi, gdy chodzi o wypowiedzianie się na pewne tematy.

JAN KOPROWSKI: Czy zdaniem Pani warunki te się zmieniły?

MARIA LORBEROWA: Nie zmieniły się. Ale wydaje się, że jeśli teatrzyk studencki w pewnych okre-

ślonych sytuacjach odgrywały bardzo ważną rolę, to obecnie skomercjalizowały się, sprofesjonalizowały i przestały być wykładnikiem nastroju w środowisku. Tak sądzi.

JAN HUSZCZA: Chciałem zapytać, bo mnie przeraża słowo kanalizacja i kanalizowanie: czy pamięta użyła tych słów w sensie, administracyjno-profilaktycznym, czy w jakimś innym?

MARIA LORBEROWA: W tym sensie, że jeżeli w danym środowisku są problemy, które je nurtują, trzeba o nich mówić, odnosić się do nich krytycznie, śmiać się, bo wtedy łatwiej jest człowiekowi żyć.

JAN KOPROWSKI: Z tego, co powiedziała pani Lorberowa wynika, że kabarety studenckie przeżyły się, to znaczy nie są tym, czym były dawniej, nie podpadają pod miano kabaretu, który żyje aktualnościami.

KONSTANTY MACKIEWICZ: Kabarety łódzkie upadają nie z braku materiałów, ale na skutek zbyt bliskiego sąsiedztwa z Warszawą. Kto chce zobaczyć dobry kabaret jedzie do stolicy, to przecież tak niedaleko. A poza tym: nasze środowiska twórce nie mają kontaktu z odbiorcą, w Warszawie na odwrót — ten kontakt jest bardzo wyraźny i mocny. Dlatego nie wiem, czy uda nam się w Łodzi stworzyć kabaret, który będzie mógł istnieć dłużej i mieć tzw. szerszy oddźwięk. Kabaret, żeby istniał, musi mieć primo: program i secundo: wykonawców. Otóż moim zdaniem o materiał nie byłoby trudno, natomiast znaleźć odpowiednich wykonawców to nie taka łatwa sprawa.

MARIA KORNATOWSKA: Chciałabym podchwycić uwagę pana Mackiewicza o tej bliskości Warszawy. Hodujemy ciagle, jako pewne alibi, kompleksy prowincjonalne. Podstawowa sprawa to istnienie silnego środowiska artystycznego, co nie ma bezpośredniego związku z odległością od Warszawy. Kabarety, jak do wodzi doświadczenie gdzie indziej, powstają albo z inicjatywy jakiejś silnej indywidualności (jak np. Dzień duszki we Wrocławiu), albo z inicjatywy jakiejś grupy (jak np. w Krakowie). Wchodzi tu jeszcze w grę tradycja, których — niestety — brak naszemu miastu. Powołam się tutaj na zdanie Piotra Skrzyneckiego, który jest spiritus movens kabaretu krakowskiego. Powiedział on, że podstawowym środowiskiem kabaretu są malarze, ponieważ malarz jest najbardziej zżytym środowiskiem. Tak było w przypadku sławnego „Zielonego balonika” i tak jest dziś w przypadku „Piwnicy pod Baranami”. Łódź posiada dosyć silne środowisko plastyczne i jest rzeczą co najmniej dziwną, że nie wyłoniła się z tego środowiska grupa, która byłaby skłonna do stworzenia



kabaretu. Kabaret powstaje tam, gdzie istnieje skłonność do pewnej, powiedzmy, bezinteresownej zabawy. Trzeba zresztą odróżnić dwa niejako typy kabaretów: kabaret, który jest szlachetniejszą formą chałtury jak np. kabaret „Ulotka” czy „Nowy Świat” w Warszawie. Opierają się one na bardzo popularnych wykonawcach i niezłych tekstach,

ale przede wszystkim na aktorach, którzy potrafia uratować nawet mierne teksty. Drugi rodzaj kabaretu jest wyrazem twórczości artystycznej, w pewnym sensie niezależnej od wykonawców. Takim kabaretem jest „Piwnica pod Baranami”, będąca pewną formą twórczości opartej na swoistych regułach. Wykonawcy bawią się sami, a dopiero po tem myśla o publiczności. Historia „Piwnicy” to historia spotkań, z których wyłoniły się formy widowiskowe, udośćnionego w następstwie publiczności. „Piwnica” posiada swoją publiczność stałą, a poza tym od wiedzają ją entuzjaści i przybysze z całej Polski. Podstawa funkcjonowania „Piwnicy” jest więc publiczność wyraźnie określona. Mamy więc tutaj do czynienia ze zjawiskiem pewnej elitarności, bez istnienia której niemożliwe są kabarety.

JAN KOPROWSKI: Czy uważa Pani, że w Łodzi nie istnieje zapotrzebowanie na kabaret literacki? Że nie ma publiczności, nie ma odbiorców?

MARIA KORNATOWSKA: Boję się, że nie. To znaczy, że w Łodzi nie funkcjonują pewne snobizmy, które są konieczne dla działania takich instytucji jak kabarety literackie. A wynika to z małej przeczności, dynamiczności, małego zasięgu promieniowania środowisk artystycznych jakie tutaj istnieją. Bo właśnie środowiska artystyczne narzucają tego rodzaju snobizmy. Np. w Krakowie, mieście mieszczańskim, należy do dobrego tonu popieranie awangardy artystycznej. A to jest sprawa jakiejś niestychnanej aktywności środowisk artystycznych, która w jeszcze większym stopniu obserwujemy w Warszawie. Niestety podobne zjawisko nie istnieje w Łodzi i nie robimy nic, aby pobudzić zdrowy snobizm. Dowodem na to są kleski o ambitniejszych imprez artystycznych: na przykład, gdy przyjechał Gilbert Becaud, nie miał w Łodzi powodzenia. A w innych miastach ludzie walili na niego drzwiami i oknami.

JAN HUSZCZA: Pani Kornatowska wiele rzeczy wyjęła mi do prostu z ust. Jeśli chodzi o kabaret literacki w Łodzi jestem również pesymista. A zresztą i w dotychczasowych wypowiedziach to nutki pesymizmu przeważały. Ale gdy się sprawa kabaretu potraktuje szerzej jako poszukiwanie rozrywki, to Łódź ma w tym względzie pewne tradycje, wystarczająco tutaj powołanie się na książkę Janusza Dunina „W Bi-Ba-Bo”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego. Nie były to tradycje wielkie, ale jednak od czasu do czasu coś się działo. Również i po wojnie były pewne próby udane w tym zakresie. O cóż jednak chodzi? Po pierwsze: kabaret musi widzieć swego odbiorcę. To znaczy musi istnieć określone środowiska w danym mieście, na które można liczyć. W Łodzi takie środowiska istnieją, ale bieda w tym, że nie przenikają się wzajemnie, że nie ma między nimi symbolozy, żyją jakby niezależnie od siebie. A więc brak jakichś wspólnych wyróżników, które mogły stać się nagłe tematem do aluzji, żartu itd. To po pierwsze. A po drugie: moim zdaniem Łódź jest



miastem wyjątkowo bigoteryjnym. Mówię o Łodzi, od strony funkcjonowania różnego typu działaczy. Nie mam na myśli czarnej bigoterii, mam na myśli bigoterię współczesną, pobożni nowego typu, z którymi stykamy się co krok — w redakcjach, w radio, a zapewne i w telewizji. W radiowej audycji świąteczno-noworocznej skreślono niewinny wierszyk o tramwajach. Jeśli więc tramwajów nie można krytykować — to co można w takim razie? Jeżeli teksty kabaretowe będą podlegały 10 czy 20 zwacom Pisma Świętego, to jego szanse zawsze będą nikome. I jeszcze jedno: dla mnie istnienie kabaretu literackiego wiąże się z istnieniem grupy artystycznej — malarzkiej czy literackiej to znaczy, że zbierała się tu gdzie nie ze względów komercyjnych, lecz z pewnej bezinteresownej potrzeby zabawy. Poza tym sądzi, że dyskusje nasza zapolektowano w sposób nieco zawężony. Ja bym raczej postawił zagadnienie rozrywki w Łodzi w ogóle. Cóż tu mówić o kabarecie, skoro ludzie mający wolny czas, np. nastolatki, nie wiedzą, co z nim w Łodzi robić. W Łodzi jest nudno. Zaczęłbym od rozmowy na tematy zupełnie elementarne. Za stanowiącym się nad brakiem u nas wesołego miasteczka, zaniknięciem zwy czajne grybkowe bilardy w restauracjach, zresztą w zakładach zbiorowego żywienia i restauracjach w innych miastach sprawa przedstawia się podobnie. Wtedy może należałoby pomówić o czymś pośrednim między kabaretem a estradką rozrywkową. Gastronomia pobiera olbrzymie sumy za działalność rozrywkową, ale sum tych nie wydaje

na działalność tego właśnie charakteru. Wtedy pieniądze są, trzeba tylko starać się o istnienie wariete, teatrzyku rozmaitości, estradki.

MARIA LORBEROWA: Jak w każdym dziele sztuki sprawa podstawowa jest zagadnienie materiału, techniki i narzędzi, tak w naszym przypadku chodzi o to, kto, co i dla kogo. Zgadza się całkowicie z tym, co mówił pan Huszcza, że Łódź ma pewne tradycje kabaretowe, że można by pomyśleć i o wesołym miasteczku, i o estradzie, i o innych rodzajach rozrywki. Każda inicjatywa w tym względzie jest wiele warta. Przypomnę tu kabaret „Poddasze”. Miał piękne założenia, miał program i oddanych i gorliwych wykonawców. Ale przestał istnieć. Dlaczego? Bo nie znalazł swego mecenasa. Otóż mecenas to sprawa bardzo istotna. Kto będzie temu kabaretowi patronował? Co do mnie, widziałabym istnienie kabaretu na podobnej zasadzie jak teatr amatorski, ale nie oparty o żadną urzędową instytucję, bo zostanie z miejsca upupiony. A to, że Warszawa blisko, nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia.



EUGENIUSZ KAMIŃSKI: Sprawa kabaretu w Łodzi jest ważna i, moim zdaniem, bardzo pilna. Istnieją kabarety telewizyjne, radiowe, każdy ma swoją formę. Ale nam, jak sądzi, chodzi o kabaret estradowy. Brałem udział w kilku takich kabaretach. Najmiej wspominać kabaret „Poddasze”. Powstał on z inicjatywy grupy aktorów, którzy chcieli coś zrobić poza swoimi zawodowymi teatrami. Najpierw była to impreza półprywatna, a później znaleźliśmy oparcie w Klubie Studenckim. Ale kabaret ten nie miał powodzenia, na co złożyły się różne przyczyny. Ażeby mógł powstać dobry kabaret, musza być dobre teksty dobrych autorów, dobry wykonawca, a z publicznością to już być może sobie jakoś poradzić. Ważne jest także miejsce takiego kabaretu. Grand Hotel nie jest, niestety, miejscem najbardziej odpowiednim. „Agawa” także nie bardzo się do tego celu nadaje. O imprezach studenckich nie mówię, bo to nie są kabarety, lecz raczej małe formy teatralne. Jakże widzę wyjście? Byłoby dobrze, żeby nasi renomowani literaci zajęli się stworzeniem dobrych tekstów, mam na myśli skecze, monologi, piosenki. Przede wszystkim jednak chodzi o znalezienie dobrego lokalu dla kabaretu.

JAN HUSZCZA: A gdzie by pan widział miejsce na taki lokal?

EUGENIUSZ KAMIŃSKI: Rzecz w tym, że ja takiego miejsca nie widzę. Może nadawałaby się na kabaret piwnica, która przygotowuje plastycy. Obecnie zajmują się wykonawstwem kabaretu „Babelek”, który powstał z inicjatywy dwóch młodych poetów Wawrzyszewicza i Królowskiego. Wydaje mi się, że można by wiazać część materiałów z tego kabaretku, wzbogacić o nowe materiały i ładnie zaprezentować na scenie Małego Teatru Nowego. Myślę, że półki co, scena Małego Teatru mogłaby służyć za lokal nowego kabaretu. A wykonawcy by się znaleźli, za to rzecz. Oczywiście należałoby zainteresować kabaretem nie tylko środowisko literackie, ale także malarzkie i muzyczne. Jest jeszcze kwestia dobrej reklamy, ale o tym pomyślmy później, gdy będą już dobre teksty, gdy będziemy mieli lokal i wykonawców. Inicjatywy powinien wziąć w swoje ręce jeden energiczny człowiek, który ponadto cieszy się autorwtelem.

JAN HUSZCZA: Siedzi tu wśród nas przedstawicielka drugiego w Polsce pisma satyrycznego — „Karusela”. Czy nie jest to w razie czego właściwy mecenas kabaretu?

MARIA LORBEROWA: Owszem, może być.

EUGENIUSZ KAMIŃSKI: Tu nie chodzi o mecenas finansowy.

JAN HUSZCZA: Nie, o inspiracyjno-organizacyjny.

KONSTANTY MACKIEWICZ: Kabaret to jest zabawa w pewnym gronie ludzi. Największe grono, jakie można u nas znaleźć, to jest osiem, nie więcej osób. A to chyba za mało. A poza tym nastroje nie są najlepsze. Krótko mówiąc, możliwość funkcjonowania kabaretu nie przedstawiała się, wedle mnie, nazbyt różowo. Raczej wzrost przeciwnie.

MARIA KORNATOWSKA: Kabaret winien być sprawą spontaniczną. Tam, gdzie kabarety odnoszą sukcesy, powstały one właśnie w sposób spontaniczny. Nie można programować: nabierać teksty, potem wykonawcy. Wszystko musi rodzić się łącznie, w grupie, która wie czego chce. I jeszcze jedno: kabaret zakłada pewną niepoważność zarówno u publiczności jak i u wykonawców. Zwierzeca powaga, z jaką skłonni jesteśmy traktować sprawy kabaretu, może mu oddać zła przysługę.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz symbolem plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobre, zagadnane. Znakiem minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inną uwagę o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych a redakcja pomoże w najlepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów” na adres: Łódź, ulica Piotrkowska 96.

	+	-
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
felietony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię : : : : :
 : : : : :
 wiek : : : : :
 zawód : : : : :
 adres : : : : :

KSIĄZKI NADESLANE

- Jarosław Iwaszkiewicz — Kragły rok Czyt. z. 10.—
- Antologia — Sto wierszy polskich Iskry z. 20.—
- Józef Czechowicz — Wybór wierszy PIW z. 15.—
- Sergiusz Jesienin Poezje z. 20.—
- A. Bloch Poezje z. 18.—
- W. Kulikowski Zbierania sronu z. 8.—
- K. Hoffman Rousseau z. 10.—
- Anna Sosnińska Człowiek jest mocny NK z. 23.—
- Genowefa Czubakowska — W habicie LSW z. 15.—
- Urszula Kozioł Lista obecności LSW z. 10.—
- Gianni Rodari Najmniejsza historia ludzkości Iskry z. 10.—
- Jadwiga Rytel J. Kochanowski WP z. 20.—
- Radko Pylik Jarosław Hasek WP z. 15.—
- Bohdan Galster Mikołaj Gogol WP z. 25.—
- John Updiko Farma PIW z. 12.—
- Antoni Kasprzowicz W cieniu Oriona WL z. 10.—
- Stefan Kaden Wiersze W. Lit. z. 10.—

JAN HUSZCZA: Sztandynger napisał kiedyś, że aby dowcip się udał, potrzeba dwóch — tego, co mówi, i co ma słuch.



JAN KOPROWSKI: Wszystko, coś my sobie tutaj powiedzieli, nie wyczerpuje bynajmniej zagadnienia. Zaledwie je obrysowuje. Myślę, że sprawa jest o wiele bardziej złożona i dyskusje nad nią należałoby kontynuować. Proponuję, w imieniu redakcji „Odgłosów”, podjąć szerszą dyskusję na ten temat i włączenie się do niej ludzi, którzy z racji swoich doświadczeń, mieliby coś do powiedzenia. Prosimy o wypowiedzi wszystkich zainteresowanych sprawami rozrywki w naszym mieście.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

CZY WENUS ODZYSKA RĘCE?

W roku 1820 mieszkaniem wyspy Milos, Theodoros Kantrotas prowadził ośrodek nad brzegiem morza. Zwierzę ciągnęło wózek. W pewnym momencie osioł potknął się, a Kantrotas stracił równowagę i niewiele brakowało, żeby wpadł do morza. Mezczyzna na przyjrzał się przeszko dzie, odgarnął piasek i ujrzał... rzeźbę kobiety.

Kantrotas był analfabeta, ale miał wyczuć piękną. Podobną mu się bardzo ta rzeźba prawie nagiej kobiety, więc swe niezwykle znalazł za dowód na wózek i zawiózł do domu. Tam nie mówiąc nikomu ani słowa, wniósł posąg do piwnicy. Każdego wieczora po kolacji Kantrotas teraz zniknął. Zaniepokoiła go żona, która zaczęła go szukać i odnalazła wreszcie swego męża w piwnicy. Milczący siedział przed posagiem i podziwiał piękno kamiennej kobiety.

Owa rzeźba to właśnie słynna Wenus z Milo bez rąk, posąg Afrodyty pochodzący z końca II wieku przed naszą erą, który znajduje się dziś w Luwrze.

Wenus z Milo w chwili odnalezienia jej przez Kantrotasa miała jeszcze ręce. W jednej trzymała jabłko, druga zaś opadała luźno, ruchem pełnym wdzięku, na fałdy skąpej odzieży.

Żona Kantrotasa nie po trafiła jednak utrzymać tajemnicy. Toteż wieść o odnalezieniu niezwykle pięknej rzeźby rozeszła się szeroko. Dość szybko dotarła do francuskiego konsula w Konstantynopolu. Konsul przybył śpiesznie do Milos i kupił rzeźbę od Kantrotasa za cenę osmiuset dolarów. Wenus miała być wysłana do Francji i zostać ofiarowana królowi Ludwikowi XVIII. Rzeźbę wywożono francuskim statkiem. Ale podczas jej załadowywania między Grecami a Francuzami wybuchła kłótnia. Podczas zwady rzeźba wyrzuciła się. A kiedy ją podniesiono — była już bez rąk. Wpadły do mo-

rza i tam pozostały na dnie.

Dzisiaj potomek Kantrotasa, bogaty restaurator amerykański Mathon Kyritsis postanowił odszukać ręce Wenus.

I oto w dniu 24 lipca br. w ateńskim porcie Pireus rozpoczęto pod kierunkiem Kyritsisa przygotowania do wyprawy do wyspy. Do Pireusu przybyła ekspedycja składająca się z nurków, techników i marynarzy. Towarzyszą im operatorzy telewizyjni, którzy mają być sprawozdawcami z całej wyprawy.

Podobne poszukiwania rąk Wenus przeprowadzane były już w roku 1961 i 1964, ale zakończyły się całkowitym fiaskiem. Kyritsis twierdzi jednak, że poszukiwania zakończy się wreszcie sukcesem i piękna Wenus z Milo odzyska swe ręce.

SMIERĆ MARGARET KENNEDY

W wieku lat 71 zmarła w Anglii w Adderbury (Oxfordshire) jedna z najbardziej znanych powieściopisarek angielskich Margaret Kennedy. Była córką londyńskiego adwokata. Ukończyła studia historyczne w Oxfordzie. W roku



Margaret Kennedy

1923 wydała swoją pierwszą powieść pt. „Damy z Lynton”. W następnym roku wydała powieść pt. „The constant Nymph” (Nimfa o wier-nym sercu). Książka przy-

nosi jej sławę. Sprzedawana jest w ciągu kilku miesięcy po tysiąc egzemplarzy dziennie i tłumaczona na wiele języków. Jean Giradoux adaptował powieść na scenę. Marga-ret Kennedy wydała następnie szereg powieści, esejów i pisze sztuki teatralne. Jej ostatnia powieść była książka pt. „Not in the Calendar”.

Margaret Kennedy zajmuje istotne miejsce w historii literatury angielskiej XX wieku obok takich nazwisk kobiet zajmujących się twórczością literacką jak Virginia Woolf, Mary Webb czy Rosamond Lehmann.

KONCERTY 350 METRÓW POD ZIEMIĄ

W Libanie w jednej z grot w pobliżu Bejrutu otwarta zostanie oryginalna sala koncertowa. Grota ta znajduje się 350 metrów pod ziemią i jest jakby korytarzem o dłu-



Wystarczy ciemne pomieszczenie, lampa, papier fotograficzny i kilka gałzek, aby uzyskać piękny fotogram — radzi w okresie urlopowym „Neue Zürcher Zeitung”

gości 6,3 kilometra. Poprzez grotę przepływa podziemny strumień. Będzie tam przygotowana sala na tysiąc miejsc. Grota zaopatrzona zostanie w windy. Zostanie też wybudowany żelazny most nad strumieniem. Przewiduje się, że pierwsze koncerty w tej podziemnej sali będą się mogły odbyć już w roku 1968.

ODNALEZIONY AUTOGRAF MOLIERA

Profesor bostońskiego uniwersytetu, Amerykanin Maxfield Miller, który wspólnie z paryską archiwistką Jurgens wydała dzieło pt. „Sto lat badań nad Moliere’em” odkryła ostatnio podpis Moliere’a (właściwie nazwisko: Jean Baptiste Poquelin) na jednym z aktów notarialnych. Jaki znajdował się w archiwach francuskich. Odkrycie to jest dlatego tak interesujące, że do naszych czasów zachowało się bardzo niewiele manuskryptów wielkiego komediopisarza. Istnieje nie więcej niż dziesięć podpisów Moliere’a. Gdy w roku 1918 odkryto w papierach archiwalnych dwa jego podpisy nawet w dawca ofiarowywał 10 tysięcy franków za podpis pisarza.

FESTIWAL WAGNEROWSKI W BAYREUTH

W ostatniej dekadzie lipca rozpoczął się festiwal wagnerowski, który trwać będzie do 24 sierpnia. Ogółem od-

postanowił całkowicie zerwać ze zbyt śmiałym i nieraz szokującym stylem inscenizacji oper wystawianych przez brata Wielanda. Pomiędzy Wolfgangiem a rodzinnym zmarłego brata powstały na tym tle poważne za-



„Lohengrin” w inscenizacji Wolfganga Wagnera

będzie się 30 spektakli. W tym roku organizatorem i reżyserem operowym jest wnuk Richar-



Wolfgang Wagner

da Wagnera, Wolfgang Wagner.

W związku z tym hamburski „Der Spiegel” pisze o sporach jakie trwały między braćmi Wagne-

drażnienia. Nastąpiły też zmiany personelu, które scharakteryzowała córka Wielanda, Nike: „Ktokolwiek wyraził się źle o moim ojcu zostaje skreślony z listy”. Wolfgang wydał nakaz aby wszystkie notatki Wielanda na marginesach kartek w książkach o literaturze, sztuce i teorii teatru były starannie wymazane, a rekwizyty sceniczne w postaci gumowych pierśi dla aktorek występujących w podniecających seksualnie inscenizacjach Wielanda wyrzucono do magazynów.

„To prawda — powiedział kiedyś Wolfgang Wagner — jestem jako reżyser mniej radykalny niż mój brat Wieland. Szukam drogi pośredniej”.

Tygodnik „Der Spiegel” wyraża jednak opi-



„Tannhäuser” w szokującej inscenizacji Wielanda Wagnera

rami. W październiku ub. roku zmarł Wieland Wagner. Od roku 1951 do 1966 obydwał wnucy Richarda Wagnera, Wieland i Wolfgang organizowali festiwalowe uroczystości w Bayreuth, ale prawdziwe rządy sprawował Wieland. Obecnie Wolfgang

nie, że inscenizacjom ub. roku zmarł Wieland Wagner. Od roku 1951 do 1966 obydwał wnucy Richarda Wagnera, Wieland i Wolfgang organizowali festiwalowe uroczystości w Bayreuth, ale prawdziwe rządy sprawował Wieland. Obecnie Wolfgang

POLONICA

„KARUZELA” W „KROKODYLU”

Niewątpliwie zaszczytne wyróżnienie spotkało wychodzące w Łodzi ogólnopolskie pismo satyryczne „Karuzela”. Oto 20 numer radzieckiego „Krokodyla” zamieścił na dwóch stronach teksty i rysunki satyryczne zaczerpnięte z „Karuzeli”. Znajdujemy tu teksty Zygmunta Fijasa, Horacego Satrina, Jana Sztandyngera, Wojciecha Drygasa, Adama Ochockiego, Wiesława Trzaskalskiego oraz rysunki Karola Baranieckiego, Stanisława Gratkowskiego, Józefa Skoniecznego i Kazimierza Mozołewskiego. Wszystkie przekłady tekstów pochodzą spod pióra znanego tłumacza radzieckiego Nau-ma Labkowskiego.

KOLEJNE „SPOTKANIE Z POLSKĄ”

Podwójny numer wychodzący w Düsseldorfie (NRF) miesięcznika „Begegnung mit Polen” (Spotkanie z Polską) przynosi wiele ciekawego materiału. Kurt Schnöring pisze o „Polskich tygodniach w Hamburgu”. Rolf Traube o „Polskim filmie w Oberhausen”. Wolfgang Hubert o „Polsce w Niemieckiej Republice Federalnej”. Dalej czytamy artykuł o Ludwiku Zamenhofie w związku z 50 rocznicą śmierci twórcy esperanta, rozważania o polskim teatrze współczesnym, informacje na temat zbrodniarza Franza Paula Stangla, wiadomości z życia polskiego filmu, plastyki, literatury i prasy oraz bogata część literacka, na którą składają się utwory Marii Konopnickiej, Lucjana Rudnickiego, Romana Brandstaettera, Moniki Kotowskiej i Stefani Grodzkiej.

POLONICA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„KAT” reżyserowany przez L. G. Berlangę jest filmem produkcji hiszpańsko-włoskiej. Partnerstwo to nie oznaczało tym razem jedynie wspólnego finansowania przedsięwzięcia, ukształtowało także naturę filmu. Bo chociaż jego akcja rozgrywa się w Hiszpanii i dotyczy ludzi tam urodzonych, „Kat” w swej formie artystycznej wypowiedzenia jest jak gdyby żywcem wzięty z kinematografii włoskiej. Przypomina „czarne komedie” Ferreriego i nosi wyraźne piętno włoskiego neorealizmu. O obecności tych wpływów w niemalym stopniu zadczydował zapewne udział w filmie Rafaela Azcony jako scenarzysty. Azcon — interesujący powieściopisarz hiszpański współpracował z Ferrerim: pisał scenariusze do „Wózka” i „Ape regina”. Również Berlanga znany u nas przede wszystkim jako twórca „Uczty wigilijnej” (1961), a być może zapamiętany także z głoś-

nego przed przeszło dziesięć laty i pokazywanego na polskich ekranach „Witaj nam Mr. Marshall” współpracował wcześniej z Włochami — z takiej kooperacji zrodził się w 1956 roku jego film „Gdzie jest profesor Hamilton?”

Pokrewieństwo artystyczne z Ferrerim określa od razu, jaki typ humoru znajdujemy w „Kacie”. Berlanga patrzy na świat z gorzką ironią i jeśli żeń żartuje, to w taki sposób, że budzi myśli zgola niewesołe. Dlatego humor graniczy tu z okrucieństwem. W krzywym zwierciadle satyry „Kat” przedstawia hiszpańskiego mieszcza, ale sięgając do problematyki moralnej dotyczy spraw znacznie szerszych — ogólnoludzkich. „Trzeba jakoś żyć” mówi odchodzący na emeryturę stary kat Amadeo. Trzeba jakoś żyć — zdaje się przemawiać cały film. Ale jak? — to pytanie nieuchronnie

prowołuje w widzu „Kat”. Proste stwierdzenie starego Amadeo, leżąc na gruncie rzeczy u podstaw wszystkich systemów etycznych i każdej filozofii, zbyt często w ustach ludzkich staje się wytłumaczeniem postawy rezygnacji lub zwykłego konformizmu. W obliczu konieczności walki o byt materialny, zależności społecznych i rodzinnych, wolność człowieka jest tylko nieosiągalnym mitem. Stoimy na straży panującego porządku rzeczy, a jednocześnie jesteśmy od niego całkowicie zależni. Wolny — zdawałoby się — wybór jakiejś linii postępowania jest tylko ucieczką od pewnych przymusowych okoliczności, które nas krepują, ale oznaczają równocześnie podporządkowanie się innym koniecznościom, które, czy nie bardziej uciążliwym niż te, od których uciekaliśmy. Takim właśnie życiowym dezerterskim jest młody kat Jose Luis. Wszedł w ten ponury zawód właściwie wbrew

swojej woli. Jego rozterka duchowa, wewnętrzna tragedia przeżywaną przed pierwszym wykonaniem wyroku śmierci (i to okrutnym, bo zgodnie ze zwyczajem hiszpańskim — przez uduszenie), uzmystawiającym przez zbiorowość, umiarkowaną prawodawstwem, tłumaczona sła chętnymi ideami. „Kat” mówi jednoznacznie, że jest to zwykłe morderstwo, odpowiednio tylko zinterpretowane przez zbiorowość. Ukazuje też, że w obliczu śmierci nie wiadomo, kto bardziej jest ofiarą; ten, który ma umrzeć, czy ten, kto zmuszony jest mu śmierć zadać. Cała ta problematyka moralna wykracza daleko poza granice ponurej, anachronicznej, zanikającej już dziś profesji. Kat staje się symbolem, przypomina, że społeczeństwem ludzkim rządzą nadal prawa dżungli: trzeba za bić, żeby żyć samemu.



„SABRINA” Billy Wildera jest już — jak na film — niemal archiwalnym zabytkiem. Chociaż nasze ekrany trafia dopiero teraz, powstała aż trzydzieści lat temu. A przecież film starzeje się bardzo szybko — jak żadna ze sztuk. „Sabrinie” owych kilkanaście lat starości nie wyszło na dobre. Wyrażnie pachnie już dziś anachronizmem. Nie z powodu strojów śmiesznie już dziś niemodnych, nawet nie ze względu na tradycyjność formy. Najbardziej razi w niej infantylność treści. Wilder — reżyser doskonałej „Garsoniery” i świetnego „Półzartem, pół serio” pokusił się w

„Sabrinie” o jeszcze jedną opowieść o filmowym Kocciuszku. Nie brakowało ich w kinematografii i nie brak wciąż jeszcze. Do tej starej historii Wilder nie wniósł nic nowego, nie wykazał ani zbyt wiele pomysłowości, ani nie zajął pełnią swego świetnego talentu w dziedzinie komizmu filmowego. Jedno tylko udało mu się naprawdę: odtworzył tytułowej roli. Była to wschodząca właśnie nowa gwiazda filmu: Audrey Hepburn. Rozbłysła dzięki „Rzymskim wakacjom”, a „Sabrina” ugruntowała jej popularność. A jednak, mimo wszystko nie mogę zrozumieć, dlaczego zdecydowano się u-

nas „odgrzać” tę sentymentalną bzdurę. Film Wildera jest cukierkowską w swej naiwności, a uroczą Hepburn — straszliwie przesłodzona. Jej romantyczne perypetie wyściska, żeby wzruszyć szerepki grono podlotków w okresie cielecych marzeń i sentymentalnych uniesień, lecz nie jestem pewna, czy w dzisiejszym pokoleniu big-beatowców łatwo znaleźć takowych. Dla ko go więc przeznacza się film? Komu opowiada się tę idiotyczną historię o miłości córki szofera do multimilionera? Kilka udanych dowcipów, z których serdecznie można się posmiać, też nie jest żadnym argu-

mentem. Odnoszę wrażenie, że o wznowieniu „Sabrinie” zdecydowały znane nazwiska: Billy Wilder, Audrey Hepburn, Humphrey Bogart. One to mają być magnesem ściągającym tłumy nie tyle do sal, co do kas kinowych.

A jednak z kobiecą przewrotnością muszę przyznać, że gdyby kazano mi obejrzeć którąś z nudnych, śmiesznie poważnych chał, jakich nie brak na naszych ekranach, to z dwójga złego, wolałabym już iść na „Sabrinę”.

MARIAEL

BONN — ARSENAL TEL AVIVU

Pierwszego lipca bieżącego roku zachodniemieckie gazety zamieściły tekst memorandum, które obserwator Niemieckiej Republiki Federalnej przy ONZ, von Braun, doręczył przedstawicielowi nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

W memorandum rząd NRF zapewnia, iż zajmując „neutralne stanowisko w konflikcie bliskowschodnim”. W kilka dni później, w „Die Welt”, opublikowano wywiad z premierem rządu Izraela, Eshkol, w którym wyraża on wdzięczność kołom rządzącym NRF za pomoc udzieloną Izraelowi. Odpowiadając na pytanie korespondenta „Die Welt”, Eshkol powiedział dosłownie co następuje: „Znane mi są liczne dowody sympatii i solidarności Niemieckiej Republiki Federalnej. Pragnąłbym, korzystając z nadarzającej się okazji, wyrazić jej naszą głęboką wdzięczność. Stosunki między Izraelem i Niemcami zachodnimi wyraźnie się polepszyły. W przyszłości staną się jeszcze bliższe...”

Wszelako serdeczne słowa izraelskiego premiera wydały się zachodniemieckim politykom nie na czasie; wprowadzały dysonans do zapewnieniami Bonn o neutralności, stawiając we właściwym świetle zachodniemieckie oświadczenia. Równie niedźwiedzią przyszłość wyświadczyła bońskim kołom rządzącym gazeta „Bild”, ukazująca się w milionowych nakładach. Przejęta wojennymi powodzeniami izraelskiej agresji, nie bez chępliwości donosiła, iż w owych sukcesach odegrała też rolę NRF. „Bron” — czytamy w „Bild” z dnia 10 czerwca 1967 roku — która przyczyniła się do wojennego sukcesu Izraela należy zapisać na rachunek Republiki Federalnej”.

1

Wszystko przypomina tanią powieść detektywistyczną: z Paryża do Bonn mknęła autostradą samochód osobowy. Sledzący za kierownicą mężczyzna raz po

raz ogląda się za siebie, wpatrując, czy aby nikt go nie śledzi... Nigdy i nikomu nie przyszedłoby do głowy, iż tajemniczym mężczyzną jest zastępca ministra obrony w rządzie Izraela — Peres...

Dlaczego Peres przedsięwziął aż takie środki ostrożności? Dlaczego aż tak bardzo pragnął samotności, że sam zasiadł za kierownicą? I dlaczego, wreszcie, wybrał tak okreśną drogę — przez Paryż do Bonn, za miast przylecieć samolotem wprost do stolicy zachodnich Niemiec? Po prostu dlatego, iż cała podróż miała pozostać w głębokiej tajemnicy. Przecież w Bonn oczekiwał na Peresa nie kto inny, tylko sam minister obrony NRF — Strauss. Jeśli informacja o tym spotkaniu przeciekła do prasy, od razu zostałyby ujawnione zamierzenia zachodniemieckiego rządu.

W okresie od grudnia 1957 roku do czerwca 1960 roku Peres spotkał się z Strausssem dwanaście razy i, aby spotkania te utrzymać w tajemnicy, Peres za każdym razem wybierał okreśną drogę do Bonn via Paryż. Strauss dwukrotnie wysyłał po niego samolot. W czasie spotkań omawiano w drobnych detalach sprawy dostaw zachodniemieckiej broni do Izraela. Gdy rozmowy pomyślnie sfinalizowano, odbyło się jeszcze jedno spotkanie, upozorowane iście detektywistycznie, tym razem na innym kontynencie. 14 marca 1960 roku, w Nowym Jorku, w hotelu „Waldorf Astoria”, spotkało się „całkiem przypadkiem” dwóch dostojnych starsców — Ade nauer i Ben Gurion.

Gdy cztery i pół roku temu „Spiegel” doniósł o tych zakulisowych machinacjach, świat poznał szczegóły tego spotkania. Bonn wyrzcił gotowość zaopatrzenia Izraela w broń.

Jak wiadomo, jeszcze w roku 1952, NRF zobowiązała się dostarczać Izraelowi różne rodzaje broni, jako rekompensatę za straty, które nazim wyrządził narodowi żydowskiemu. Ten propagandowy krok Bonn zmierzał do okazania pomocy ekstremistycznym kołom Izraela.

Działalność NRF została właściwie oceniona w krajach arabskich. Bonn, który manifestował swą przyjaźń do krajów arabskich, popiepszył z uspokojeniem Arabów. 9 listopada 1952 r. skierował do rządu egipskiego notę, w której zapewniał, iż nie będzie dostarczał Izraelowi materiałów strategicznych. Wszakże „przypadkowe” spotkanie w nowojorskim hotelu wykazało, co są warte

zapewnienia Bonn, bowiem od lat, rocznie, minimum 20 procent zachodniemieckich dostaw do Izraela obejmowało czołgi, artylerię, samoloty, łodzie podwodne, rakiety przeciwczołgowe i inne jeszcze rodzaje broni.

2.

Pewnego pięknego dnia, w koszarach Rendsburgu i Monachium pojawili się nieznanymi oficerowie i żołnierze. Ich ogorzone twarze zdradzały, że przybyli z kraju szczodrego w słońce. Byli to wojskowi armii izraelskiej. Bundeswehra za prosiła gości z dalekich stron, by podzielić się z nimi swym doświadczeniem. Pięć tysięcy żołnierzy i oficerów przybyłych z Izraela przechodziło praktykę na zachodniemieckich poligonach. Uczyli się władania współczesną bronią, w tej liczbie i tą, która tajnymi kanałami szła z Bonn do Tel Avivu.

Zachodniemieccy dostawcy broni przejawili w tym niemal obrotowości. Po całym świecie rozjeżdżali się agenci bońskiego resortu wojskowego, by dokonywać niezbędnych zakupów. Zdarzało się nieraz i tak: ładunek kierowany do Izraela rejestrowano jako wyroby produkcji pokojowej, zaś w rzeczywistości zawierał on broń, rozebraną na części i ukrytą w specjalnych zasobnikach. Znowu innym razem wojenny ładunek z NRF wysyłano do zgoda innych krajów, by tam z kolei przedawać go na okręty, płynące do Izraela. Wreszcie, sprzęt wojskowy wysyłały do Izraela również tzw. trzecie kraje, a rachunki za „towar” przesyłano do Bonn. I tak, na przykład, czołgi marki „M-48” wysyłano do Tel Avivu przez Italię. Admirałcja brytyjska sprzedawała Izraelowi zmodyfikowane łodzie podwodne „Totem” i „Turpin”. Należało za te transakcje uregulować rząd zachodniemiecki.

I oto któregoś dnia te ściśle tajemnicze wypływały na światło dzienne. Wybuchł międzynarodowy skandal. Intensywna pomoc Bonn dla izraelskich ekstremistów była jedną z głównych przyczyn, że kraje arabskie zerwały stosunki dyplomatyczne z NRF.

W stolicy nad Renem szybkoćkuo zapewniono, iż dostawy broni do Izraela będą bezwarunkowo wstrzymane. Nawijając stosunki dyplomatyczne z Izraelem, w maju 1965 roku, rząd zachodniemiecki oświadczył, iż niedostarczone transporty sprzętu wojskowego zastąpi produktami przeznaczenia pokojowego. Ale i tym razem rząd NRF wpro-

wadził w błąd opinię świata. Do Tel Avivu popłynęły nowe transporty z bronią. Plany bońskich polityków ujawnił były sekretarz stanu rządu NRF Eckard. Występując w Nowym Jorku, na przyjęciu zorganizowanym przez redakcję gazety „Aufbey”, powiedział on, iż rząd boński zatroszczył się o to, iżby dalsze transporty broni otrzymywał Izrael od krajów trzecich. „Oczywiście my będziemy finansować te przedsięwzięcia” — dodał Eckard. Wyjaśniło się później, iż owym trzecim krajem okazały się Stany Zjednoczone.

Ogólnie, do roku 1966, NRF dostarczyła Izraelowi różne rodzaje broni na sumę 660 milionów marek.

3.

O pustyni Negew wspominało w przeszłości tylko w podręcznikach geografii. Teraz nazwa ta coraz częściej przewija się na łamach prasy. Już od szeregu lat, w warunkach ścisłej tajemnicy, prowadził się w tym trudnodostępnym zakątku Izraela intensywne badania atomowe. Niedaleko od pustynnej osady Dimona zbudowano reaktor atomowy „Dimona”. Izraelscy atomiści szybko znaleźli wspólny język z zachodniemieckimi kolegami. Interes jest wzajemny. Przed Bonn, iż ry formalnie oświadczył, iż nie będzie produkować broni jądrowej, otworzył się możliwości prowadzenia prac eksperymentalnych w dziedzinie broni jądrowej na pustynnych poligonach Izraela. Tel Aviv z kolei liczył na zasobną sakiwiekę zachodniemieckiego sojusznika. W rezultacie, już od wielu lat, oba kraje prowadzą wspólne badania atomowe. Prace te przybierają coraz bardziej i bardziej niebezpieczny obrót. Zachodniemiecka gazeta „Handelblatt” donosiła na przykład, że, poczynając od roku 1963, w izraelskim reaktorze atomowym produkują się rocznie osiem kilogramów produktów jądrowych. „Oznacza to — pisze gazeta — iż poczynając od 1963 roku Izrael może w każdym półroczu produkować po jednej bombie atomowej”.

Amerykański magazyn „Newsweek” polecając się na wysokopostawioną osobistość w Tel Avivie podał niedawno, że izraelscy ekstremiści chcą tę możliwość zrealizować: zaplanowano, iż w przeciągu najbliższych dwunastu miesięcy wyprodukują się tam pierwszą bombę atomową. W związku z tym złowieszczo brzmi wiadomość, zamieszczona w „Die Welt” z dnia 30 czerwca 1967 roku, że Izrael w stosunkowo krótkim czasie, od 5 do 10

lat, może wyprodukować broń batalistyczną z głowicą jądrową. Apetyty izraelskich generałów rosą z każdym dniem.

Nie bez podstaw będzie twierdzenie, iż znaczną część osiągnięć na pustyni Negew może Bonn zapisać na swój rachunek. Wszak zachodniemieccy uczeni nadają ton wspólnym zachodniemiecko-izraelskim badaniom jądrowym. Współpraca jest tak dalece ścisła, że trzeba było stworzyć specjalną radę, która koordynuje działalność w dziedzinie fizyki jądrowej. Przewodniczącym rady jest prof. Gertner z Instytutu Heiberskiego im. Maksa Plancka. Podlega mu 50 zachodniemieckich uczonych i około 400 ekspertów do spraw uzbrojenia, którzy prowadzą praktyczną działalność w Izraelu, z pracami przy reaktorze „Dimona” włącznie. Zaś z kolei izraelscy uczeni studiują w Karlsruhe i Hamburgu technologię jądrowych materiałów rozszczepialnych.

Bonn z pośpiechem finansuje wszystkie nowe poczynania izraelskich atomistów... W ubiegłym roku rząd boński wyasygnował na „rozwoj ekonomiczny pustyni Negew” kredyty w wysokości 160 milionów marek. Jak informuje „Frankfurter Allgemeine”, poseł izraelski w Bonn prowadził, w połowie lipca br. rozmowy z rządem Kiesingera o wyasygnowanie na ten cel, również i w roku 1967, dalszych 160 milionów marek.

4.

W poniedziałek 5 czerwca br., wojska izraelskie rozpoczęły agresję na Bliskim Wschodzie. Jeśli prześledzić prasę światową z tego dnia widać, iż w większości krajów przebiega jedna tendencja: natychmiast ugasić ognisko wojny, możliwie najszybciej wstrzymać przelew krwi. W inny zgłosił ton uderzyły pisma zachodniemieckie. Teżoż dnia koncert bońskiego króla prasowego — Springera, wydał dodatek nadzwyczajny, który rozdawano bezpłatnie. Pisano tam: „Co nastąpi teraz? Kiedy Stany Zjednoczone wypełnią swe zobowiązania wobec Izraela? Kiedy i gdzie VI flota amerykańska rozwine bezpośrednio działania wojenne?”... Reakcyjne koła NRF nie kryły swojej aprobaty dla działalności ekstremistów z Tel Avivu, naśladowanych wiarodolną praktykę nazistowskiego Wehrmachtu.

W czasie, gdy większość krajów całego świata właściwie osądziła zakusy Izraela, NRF — kraj jeden z niewielu — podtrzymywał

te aneksyjne dążenia. „W żadnym wypadku — pisała zachodniemiecka prasa — Izrael nie powinien się zgodzić z postanowieniami, wedle których powróciłby do starych granic”.

Człowiek nie znający politycznej kuchni Bonn nie wie, dlaczego nad brzegami Renu z takim żarem mówi się o wojnie błyskawicznej, dlaczego właśnie tutaj tak gorąco broni się prawa do zmiany siły państwa i dlaczego właśnie tu tak silnie i mocno akcentuje, iż uzbrojony naród, nawet niewielki, jeśli się dobrze postara, może zdziałać cuda.

Sprawa jest prosta. Oto bońscy stratedzy, mimo smutnych doświadczeń przeszłości, usprawiedliwiają w oczach własnego społeczeństwa izraelską agresję na kraje arabskie, gdyż pragną w ten sposób usprawiedliwić również własne koncepty wojenne, związane z planami rozegrania na swój sposób wyników drugiej wojny światowej.

5.

21 czerwca bieżącego roku przybył do Bonn były izraelski minister wojny, Szymon Peres, w charakterze specjalnego wysłannika premiera Eshkola. Teżoż wieczoru odwiedził Straussa, również byłego ministra obrony, a obecnie ministra finansów w rządzie bońskim. Tak więc starzy partnerzy zakulisowych rozmów spotkali się znowu. W tym roku jest to już nie pierwsze spotkanie oficjalnych przedstawicieli NRF i Izraela.

W marcu br., w wyniku tajnych rozmów, rząd Kiesingera udzielił rządowi Eshkola długoterminowej pożyczki w wysokości dwóch miliardów marek. Tym razem przybył Peres z prośbą, żeby tę, i tak już ogromną sumę, jeszcze zwiększyć. Jednakże było to tylko jednym z celów wizyty. Nie nadarmo w środowiskach dziennikarskich utarło się powiedzonko: „Tam, gdzie spotykają się Peres ze Strausssem, tam pachnie bronią. Zresztą wysłannik Izraela nawet tego nie ukrywał. W wywiadzie dla „Spiegla” powiedział, iż w trakcie rozmów ze Strausssem rozważano również „problemy obrony”.

Takie są fakty. Świadczą one o jednym: już od wielu lat Bonn odgrywa rolę pomocnika Tel Avivu. I wszystkie memoranda o neutralności, które znad brzegów Renu rozsyła się na wszystkie strony świata, okazują się niczym innym, jak figurowym listkiem, którym i tak nie uda się przykryć ciemnych machinacji bońskich koł rządzących.



Lewym okiem

ZWIERZĄTKA POZYTECZNE

Najnowsze wykopaliska archeologów dowodzą podobno, że ze wszystkich zwierząt najuczciwiej, w zamierzonych zgoda czasach, pozwoliła się oswoić owca. Oczywiście, dalecy jesteśmy od podejrzeń, że właśnie dlatego owce i jej męza barana uważamy za istoty niezbyt rozgarnięte. Później oswojano co się tylko dało i wprzegano w zaspokajanie rosnących potrzeb, zachcianek, fanaberii człowieka. Czy proces ten się zakończył?

Ostatnio modne są delfiny. W Związku Radzieckim uczeni studiują system sygnałów dźwiękowych, jakimi te morskie ssaki zdają się pomieścić sobą porozumiewać: być może jest to świadoma, ukształtowana „mowa”, z której można będzie wnioskować o życiu duchowym delfina. Jednocześnie czytamy, że w Stanach Zjednoczonych czynione są próby wojskowego szkolenia delfinów. Uczy się je podrywać pod określone cele z przytwierdzonym na grzbiecie ładunkiem wybuchowym. Konie się w wojsku przeżyły, ale kto wie, czy nie będziemy kiedyś czytać o kompi-

niach lekkich delfinów i batalionach pancernych wielorybów?

Inteligentny, a nie zdający sobie sprawy ze swej samobójczej misji delfin, może być całkiem niebezpieczną bronią, na którą koniecznie trzeba wymyślić antidotum. Najlepiej wytrzesować odpowiednio jakąś ośmiornicę, rybę-pilę lub zmasowaną ławicę śledzi, a jeśli się okażą za głupie na samobójców — znaleźć jeszcze jednego delfina. Lotniskowiec będzie sobie płynął spokojnie, a dokoła wezmą się za uczone tby — nieszczęsne delfiny. Kto chce, niech zrobi z tego nowelkę na ostatnią stronę „Odgłosów”.

Czytamy też o niebezpieczeństwie, jakim są dla samolotów ptaki. W Holandii — jeśli wierzyć kanikularnym notatkom prasowym — ustawiona dokoła lotniska wielkie głośnie, przez które nadaje się z taśmą wrzask polujących mew. Na ten dźwięk uciekają gołębie i szpaki, zwałniając powietrze trasy odrzutowcom. No proszę — gotowy pomysł: zakładamy wielkie hodowle szpaków. W razie czego wypuścimy ptaszki — po paromiesięcznym kursie wieczorowym — naprzeciw samolotom, będą wiedziały, jak trafić w dyszę. Rozszerzymy tym samym tematykę pisemek dziecięcych o nowe gatunki kochanych, pozytywnych zwierzątek i ptaszek, bo piesek i kotek dawno już się przejadły.

W rozpasanej — daleko poza kręgi wyobraźni — nienawiści absolutnej tyle już jest szaleństwa, że żaden pomysł nie jest ani głupi, ani śmieszny. Nie ma się z czego śmiać. Póki co jednak cieszymy się naszymi tradycyjnymi radościami, a nasze troski mech wynikają z miłości, nie z żądzy niszczenia.

Co na przykład zrobić z takim zmartwiczeniem: psów i kotów mamy w miastach za dużo! Już nawet Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt apeluje

publicznie, aby likwidować potomstwo czworonogich naszych przyjaciel, i to — czytamy — natychmiast po urodzeniu, kiedy kociaki są ślepe. Są jakies humanitarne sposoby uśmiercania takich noworodków, ogłoszenia podają adresy odpowiednich placówek. Niemła sprawa, ale skoro dojrzały do rozwiązania, to nie ma co wybrzydząć. Byłoby „odpowiednie placówki” działały sprawnie, bez perspektywicznych planów, bez poddań z załącznikami, harmonogramów i zakresów kompetencji, bo kociaki przez ten czas zaczynają nie tylko widzieć, ale i drapać.

Co robić z chmarami gołębi, zanieczyszczających gmachy, gyzmy, pomniki i kapelusze przechodniów we wszystkich już niemal miastach? Upiększają miejski krajobraz, pozują do banalnych zdjęć, roznoszą choroby. Co z nimi zrobić?

Podobno istnieje sposób zwalczania plagi komarów: rozpyła się jakieś tam świństwo i komary męskiego rodzaju stają się bezplodne. Środek działa tylko na jeden gatunek komarów, ten najsilniejszy. Słabsze jakoś sobie radzą i dokuczają ludziom nadal. Żeby je unieszkodliwić, robi się tak: w okolicach, zamieszkałych gęsto przez silne komary, łapie się je masowo i przewozi żywym w te strony, gdzie dominują komary słabsze. Te silniejsze zwalczają te słabsze, a potem się je pozabawia radości posiadania potomstwa, rod starzeje się, wymiera i spokość.

Może by coś podobnego z gołębiami i kotkami? Sposób bezkrwawy, zmyślny, napawający nas słuszną dumą: jacyż jesteśmy potężni, jak umiemy wprzegad do służby całą przyrodę martwą i żywą!

Byłoby nie do służby wojskowej. Zimno się robi i nawet eksportowa żubrówka przestaje smakować.

CWIEK.